

Prosto z pensyi



MICHAŁ BAŁUCKI

Prosto z pensyi

NOWELKA

I

Po ogrodzie spacerowało kilkanaście panienek. Wszystkie prawie ubrane były jednako-wo w czarne sukienki, białe, sztywne kołnierzyki i także mankiety. Choć były młode, bardzo młode, bo najstarsza z nich nie skończyła jeszcze osiemnastej wiosny, w ruchach ich panowała powaga, a rozmowy ciche i całe zachowanie się pozbawione były swobody i życia, tak właściwych młodości. Przyczyna tego nienaturalnego usposobienia znajdowała się na końcu głównej alei, w postaci zakonnicy, która w czarnym habicie i białym welonie, otaczającym jej pergaminową twarz i zwiędłe rysy, siedziała na ławce w cieniu kasztana, z brewiarzykiem w ręku, od którego kiedy niekiedy odrywała oczy, aby rzucić je w pogoń za panienkami, rozsypanymi wśród zieloności ogrodu. Spojrzenie tej ochmi-strzyni i wysokie mury, któremi otoczony był ogród, trzymały w karbach młodzieńczą żywość pensyonarek. Chodziły po dwie, po trzy najwyżej po ścieżkach wysypanych żółtym piaskiem, jedne rozmawiały, drugie zrywały róże, które właśnie w tym czasie rozkwitały w całej pełni, i robiły z nich wieńce i bukiety na ołtarz; inne pomagały siostrze kołowej była to służąca klasztorna, ale chodziła w habicie i wolno jej było wychodzić za furtkę, za koło, dla załatwiania sprawunków klasztoru, pleć i podlewać w inspektach.

Na jednej z bocznych ścieżek, obsadzonej gęsto krzaczkami agrestu, porzeczek, przechadzały się dwie panienki, trzymając się pod rękę i poufale rozmawiały ze sobą. Jedna z nich była jasna blondynka; dwa warkoczki, które spadały jej na czarną sukienkę, miały tak prześliczny, złocisty połysk, że robiły wrażenie, jakby dwie służy słonecznych promieni, prześlizgnąwszy się przez gęste liście jabłoni, upadły na jej plecy i ramiona. Twarzyczkę miała białą, przejrzystą, prawie że liliową, szczególnie na skroni i koło szafirowych oczek, a rumieniec na niej wyglądał tak jakby się ciągle wstydzila i wstyd ten dziewczycy wywoływał silne zarumienienie jej twarzy. Oczy wilgotne, wrażliwe na światło, zakrywały się często mrugającymi powiekami z wyrazem trwogi. Nie miałem nigdy sposobności zaglądać w oczy żywym laniom, ale z tego, co mi opowiadali myśliwi, wnoszę, że panna Janina miała wzrok bardzo podobny do strwożonej lani, tylko z odmianą koloru. Rysy jej, może nie dość regularnie, posiadały jednak wiele powabu; przeglądała przez nie młodziutka, czysta i niewinna jeszcze dusza. Raz na imieniny panny matki przebrano ją do żywych obrazów za anioła i nie można było w istocie znaleźć doskonalszej przedstawicielki anielskości. Wyglądała tak, iż zdawało się, że skoro tylko poruszy papierowymi skrzydłami, to ją poniosą daleko od ziemi. Obok tego anielstwa, miała jednak swoje kaprysyki i grymasy i nieraz niezadowolone fałdowało jej czyste czoło.

Koleżanka jej i przyjaciółka, niższa nieco od niej, ale więcej rozwinięta, pełniejszych kształtów, miała twarzyczkę smagłąwą, nadzwyczaj regularnych rysów a drobnych, jakby na kamei rzeźbionych; oczy piwne, bystre i rozumne, czoło niskie i ciemno kasztanowate włosy gładko uczesane, z tyłu gęsto koło głowy oplecione.

Panienki chodziły tam i napowrót po ścieżce, gestykulując żywo rękami. Czasem zatrzymywały się przy krzaku porzeczek i skubiąc czerwone gronka, kładły je sobie nawzajem w usta.

— Ty lubisz porzeczeki? — spytała Janina, zapatrzony się uśmiechnięta w usta Zosi, która gestami i równiutkimi ząbkami pochwyciła podaną jej gałązkę porzeczek.

— Pasyami!

— To u nas będziesz mogła używać, bo mamy śliczne porzeczeki. Ale przyjedziesz z pewnością?

— Poproszę ojca, żebyśmy wstąpili do was choć na parę dni.

— A babcia was nie puści aż za kilka, kilkanaście. Będziemy biegały po polach i lasach. U nas okolica taka piękna, a dziadunio i babcia tacy gościnni! Zobaczysz, że ci się u nas spodoba.

— Kto wie, — odezwała się Zosia, która dotąd z pobłażliwym uśmiechem słuchała przyjaciółki — ja Ukrainka, przyzwyczajona do szerokich stepów, może mi za duszno, za ciasno będzie w waszych górach, jak tu w klasztorze.

— U nas nie góry, zaledwie pagórki; nasz dwór na wzgórkach, a stamtąd taki przestronny widok na kilka mil wokoło, że kiedy nieraz patrzę z okienka mego, to radabym od jaskółki pożyczyć skrzydełek i szybować w powietrzu. Za dworem niedaleko płynie rzeczka bystra, będziemy więc miały kąpiel wyborną.

— Panno Janino! — odezwał się nosowy, donośny głos od furtki ogrodowej — panno Janino!

— Ach! to pewnie po mnie przyjechali — zawołała panienka, klasnęła z ucieszenia w rączki i pobiegła w podskokach ku klasztorowi. Po kwadransie wróciła. Miała już kapelusik z popielatą woalką na głowie, lekką zarzutkę na ramionach i torebkę podróżną, przewieszoną przez plecy.

— No, ja już gotowa, jadę — mówiła z promieniającą od radości twarzą do swojej przyjaciółki, naciągając szybko rękawiczki — babunia sama przyjechała po mnie.

— Daleko masz do domu?

— Nie całe cztery godziny jazdy. Mówiłam już babuni, że przyjedziecie: ucieszyła się bardzo. No, kiedy się was spodziewać?

— To zależy będzie od ojca, kiedy wróci z wód. Pisał wczoraj, że najdalej za tydzień.

— Więc do zobaczenia.

Zaczęły się całować na pożegnanie, a całowały się tak długo i serdecznie, jakby już nigdy w życiu zejść się nie miały. Toż samo powtórzyło się z innymi koleżankami, lubo nie ze wszystkimi z równą serdecznością. Trwało to dobry znów kwadrans, podczas którego babcia załatwiała rachunki z bielizną. Potem nastąpiły pożegnania z zakonnice. Tu już tylko Janinka sama całowała jedną za drugą dobrodziejkę w chude, bezkrwiste ręce, za co w zamian dostała od niektórych lekkie dotknięcie ust w czoło lub w głowę. Wycalowaną jeszcze z powtórzeniem przez koleżanki, że aż wypieków dostała na twarzy, wypuszczono Janinę za furtkę klasztorną, gdzie na nią czekała babunia i jakiś młody pan, szczupły brunet z kędzierzawą bródką. Nieprzygotowana widać była na spotkanie mężczyzny, bo na jego widok zmieszala się, zarumieniła i swobodny uśmiech, z jakim wybiegła z klasztoru, zniknął.

— Jak ona wyrosła i wypiękniała! — odezwał się mężczyzna, wpatrując się w nią z zajęciem i zbliżając się powoli.

Panna cofnęła się przestraszona i, przytuliwszy się do staruszki, jak młode kurczę przed niebezpieczeństwem, zawołała tonem napół obrażonym, napół skarżącym się:

— Babuniu!

— Nie bój się, moje dziecko — mówiła staruszka z uśmiechem. — Nie poznajesz go? To Adaś Sulimierski.

— Który miał przyjemność kołysać panią, gdyś była jeszcze ot... tyła.

— Jeżeli się nie mylę, to ci nawet wujem wypada — wprawdzie zimnym, ale zawsze wujem.

— No, teraz możemy się przywitać, co? — spytał żartobliwie i wyciągnął ku niej rękę.

Ale panna, nie przyjmując podanej dłoni, cofnęła się o półtora kroku w tył i stając w trzeciej pozycji, zrobiła ukłon według wszelkich reguł nauczycielki tańców. Zaraz potem, wzięwszy babcie za rękę, wyszła z nią przed bramę klasztorną, gdzie czekał na nie powóz, a raczej landara zakurzona z drogi, z obrokiem na koźle i wiązką siana z tyłu, na które furman ustawiał duży paniński kufer.

— A to Michał przyjechał — zawołała panna ucieszona widokiem starego furmana, który ją dzieckiem jeszcze obwoził koło gazonu na starej klaczy, rozumie się pod okiem dziadków, którzy z ganku przypatrywali się tym pierwszym próbom małej woltyżerki.

— Jak się masz, Michale?

Furman przerwał pakowanie wózka, aby panience skłonić się do kolan za pamięć. Zdjął magierkę, poskrobał się po głowie, spojrzął na panienkę z uśmiechem zadowolenia i wrócił do roboty. Babunia tymczasem wydawała polecenia Adasiowi względem sprawunków, które zrobić mieli. Trzeba było kupić tuzin pomarańcz, dwa funty cukierków, laseczkę wanilii i coś tam jeszcze. Adaś pobiegł co tchu za temi sprawunkami do miasta, a panie zaczęły robić miejsce do siedzenia w powozie, co nie było rzeczą tak łatwą, z powodu rozmaitych pakietów i pudełek, którymi wewnątrz zapchano. Wreszcie babcia usadowiła się w głębi powozu, a obok niej usiadła Janina.

— Weź koszyczek do ręki, bo się Adaś nie pomieści.

— Jakto, on tu będzie siedział, tak blisko nas? — spytała panna ze zgorzaniem.

— A gdzie go podziejemy?

— Może przecież wygodnie usiąść na koźle, obok Michała.

— A jak nie zechce?

— Przecież nie będzie tak niegrzecznym. Babuniu, niech babunia nie pozwala mu siadać tutaj.

— Ale czemu?

— Ja niechcę — odrzekła zadąsana.

Cóż było robić z kapryśnicą? Nie od dzisiaj babcia przywykła pobłażać jej grymasom; to też i teraz uległa, a panna, korzystając z jej dobroci, zabrała się coperędzej do użytkowania przedniego siedzenia na swoją korzyść i założyła je tyloma drobiazgami, że gdy Adaś wrócił z miasta i zobaczył tę kolekcję, nie próbował nawet umieścić się w powozie, dorzucił tylko do tego wszystkiego parę paczek, które przyniósł z sobą, siadł na kozioł i ruszyli.

Ruch na ulicach, przez które powóz przejeżdżał z turkotem, wystawy sklepowe, wszystko to zajmowało nadzwyczaj Janinę; po jednostajnym życiu klasztornej każda nowość ją bawiła. Wychyliła główkę przez okno i chciwie chwytiała oczami najrozmaitsze przedmioty spotykane po drodze. Ale nawet ta mnogość wrażeń, gwar i ruch uliczny zmęczyły nieprzyzwyczajoną do tego; musiała wsunąć się w głąb powozu i odpocząć trochę. Dopiero kiedy koła zadudniły na moście, wyjrzała znowu i zawołała z uciechą: „Wisła”. Więcej się jeszcze ucieszyła, kiedy się wydostali za miasto, kiedy oczy jej, niewięzione murami, mogły swobodnie biegać po ogromnych przestrzeniach błękitnego nieba, po zielonych polach zbóż najrozmaitszych odcieni; odetchnęła pełną piersią i zawołała, przyciskając do ust pomarszczoną rękę babuni.

— Ach, babuniu, jak tu dobrze, jak miło! Nie ma to jak wieś!

— Użyjesz jej teraz do woli.

— Więc już nie wrócę nigdy do klasztoru.

— Nie. Teraz panna zajmować się będzie drobiem, kuchnią, gospodarstwem domowym, a dla dokończenia edukacji sprowadzimy do nauki szwaczkę i krawcową.

— Ach, jak to dobrze! Poproszę dziadunia, żeby mi kupił maszynę do szycia — babunia nie widziała jeszcze, jak się to szyje? — Powiadam babci, to robota idzie tak szybko, że aż miło. Będę szyła dla całej wsi, dla wszystkich dzieci.

Droga szła pod górę. Adam zeskoczył z kozła i zbliżył się do drzwiczek powozowych właśnie w chwili, gdy Janina z żywymi gestami opowiadała babuni o cudach maszyny do szycia. Gdy zobaczyła jego głowę, jakby ją kto zimną wodą oblał, ucieła w jednej chwili rozmowę i zrobiła surową, poważną minkę.

— O czymże panie tak rozmawiają? — spytał, wsunąwszy głowę do powozu.

— To nasza zakonniczka tak się rozgadała — rzekła babcia, obejmując wnuczkę spojrzeniem pełnym miłości.

— I o czym-że, jeżeli wolno wiedzieć?

— No, powiedz, zaspokój Janinko, jego ciekawość.

Panienska zesnurowała różowe usteczka i milczała uparcie, nie patrząc nawet na Adama.

Powóz ruszył nieco prędzej i on pozostał w tyle.

— Czemuż on nie siedzi sobie na koźle? — spytała panna, z minką niezadowoloną.

— Cóż ci to szkodzi?

— Michał mógłby prędzej jechać, a tak wlecemy się i Bóg wie kiedy zajedziemy.

— Pospieszyć nie można, bo góra, a powóz ciężki.

Jakby na potwierdzenie tego, konie znowu zwolniły biegu i z trudnością ciągnęły powóz pod górę. Adam zrównał się z niemi. Idąc obok, rozpoczął rozmowę, którą tylko babka podtrzymywała, bo panna, otuliwszy się zarzutką i odwróciwszy oczy w inną stronę, żadnego w niej udziału nie brała, zdając się nawet nie uważać na to, co mówią. Gdy Adam pozostał znowu na chwilę wtyle, Janina z żywością wzięła babkę za rękę i prosiła:

— Powiedz mu, babciu, żeby nam dał spokój!

— Ale dla czego? dla czego? — spytała babunia, patrząc zdziwionymi oczami na wnuczkę i nie mogąc zrozumieć jej niechęci dla kuzynka.

— Bo jest nieznośny, bo impertynencko patrzy, a ja tego nie lubię.

— Ależ...

— Jak mu babunia nie powie, to ja mu powiem.

— Co takiego? — spytał z uśmiechem Adam, który, zbliżając się do powozu, usłyszał ostatnie słowa.

Janina zachowała pogardliwe milczenie.

— Jesteś w nielasce, mój Adasiu, u Janinki — rzekła babunia; patrząc filuternie na pannę. — Nie wiem, co za powód.

— U panienek w tym wieku dzieje się wiele rzeczy bez przyczyny — mówił wesołym, żartobliwym tonem. — I toby chciał rozumem tu czego dochodzić, i zginie a nie będzie umiał w to ugodzić. Który to poeta powiedział, kuzyneczko.

Janina zapłonęła rumieńcem oburzenia. Niema obraźliwszych istot, jak panienki wychodzące z pensyi, szczególnie jeżeli ktoś w sposób żartobliwy przypomina im dopiero co ukończone szkoły. To też i panna Janina czuła się do żywego dotkniętą pytaniem Adama i poprzysięgła sobie w duszy „na nie wiedzieć co” (wyrażenie pensyonarek), że mu tego nigdy w życiu nie przebaczy.

Powóz stanął na szczycie góry i Adam wsiadł na kozioł. Janina odetchnęła swobodniej, że nareszcie uwolniła się od towarzystwa nieznośnego kuzynka, i konie ruszyły szparko na dół. Zaczęła znowu gawędę z babcią: układała z nią program przyszłych zajęć na wsi, zapytywała o znajomych z sąsiedztwa, lub opowiadała o swoich koleżankach z pensyi.

Tymczasem słońce schowało się za ametystowe góry; złociste promienie, całując po drodze obłoki wałęsające się po niebie, biegły za niem i chowały się jedne po drugich. Przejrzysty błękit zmienił się na seledyn, potem ciemniał coraz więcej i zmrok przysypywać zaczął ziemię popielatą barwą, za którą przedmioty stawały się coraz niewyraźniejsze, coraz więcej zlewały się w ogólne kontury. Kiedy z gościńca skręcił powóz na boczną drogę, już było zupełnie ciemno.

We wsi, przez którą przejeżdżali, widać było przez małe szybki ognie, przy których gotowano wieczerzę. Tu i owdzie, na tle sieni oświeconej luczycem, czerniły się głowy ludzi siedzących na progu przed chatą, a w dali słychać było szczekanie psów.

Janina wsłuchiwała się, zapatrzyła; każdy szczegół ją zajmował, bo wszystko przypominało jej mile chwile spędzone na wsi. Tu skrzypiał żuraw przy studni, z której czerpano wodę, tam za chatami koło stawów rechotały żaby, odzywały się czajki tak żałośnie, że zapomniała nawet o babci i długo nie odzywała się do niej. Dopiero kiedy minęli kuźnię, w której koło wielkiego ognia kręciło się kilka czarnych postaci, zwróciła się do babci.

— To Stach kował, prawda? Więc minęliśmy już Przyłęczę. To do Jaworowa niedaleko. O! już ta figura — mówiła, wskazując na figurę przydrożną, która wyraźnie czerniła się na ciemnym tle nieba — gdzieśmy to z panną Ksawerą (była to jej bona) chodziły wieczorem na Anioł Pański. Niezadługo będzie rzeka, a ztamtąd już tylko... O, patrz babuniu, już widać światełko w naszym dworze. Tam dziadunio pewnie niecierpliwi się, że nas tak długo nie widać. O, już rzeka! zawołała ucieszona, usłyszawszy szum i pluskanie wody pod kopytami końskimi.

Schyliła się z powozu, aby ręką dotknąć wody.

— Janinko, co robisz? spadniesz! — zawołała przestraszona babcia.

— O nie, babuniu! Jaka ciepła woda! Zaraz jutro pójdę się kąpać.

Gdy konie wydostały się z wody i biegły cicho po piaszczystej drodze, Janinie coś przyszło nagle do głowy i zawołała na Michała, żeby stanął.

— Cóż to będzie nowego? — spytała babka.

— Niech się tu babcia trochę zatrzyma, żeby turkotu nie usłyszeli we dworze, a ja pobiegnę naprzód, zrobię dziadunowi niespodziankę. To się dopiero zadziwi, jak mnie tak nagle zobaczy.

— Niech chociaż Adaś idzie z tobą; tak ciemno!

— Nie chcę, nie chcę ja sama trafić.

— Ale psy — zauważył Adam.

— Psy mnie znają lepiej niż pana, obejdę się bez obrony — rzekła i frunąwszy, jak spłoszony ptak, zniknęła w ciemności, zanim Adam zdecydował się zejść z kozła.

— Mogą jej psy nie poznać, pobiegnę.

— Daj pokój, nic jej się nie stanie, a gotowaby ci jaką niegrzeczność znowu powiedzieć.

— Ależ to ziółeczko z tej kuzynki mojej!

— Najpocziwsze serce.

— Tylko zepsute przez babcię i dziadunia.

— Cóż chcesz, to nasza cała pociecha; nie mamy już nikogo prócz niej.

W czasie, kiedy tak rozmawiali, osóbką, o której toczyła się rozmowa, biegła szybko pod górę ku dworowi; od śpiesznego biegu i wzruszenia serduszko biło jak młotem i twarz była w płomieniach. Kiedy dobiegła do bramy, ogromne psy z głośnym szczekaniem rzuciły się ku niej, ale poznawszy swoją dobrą znajomą, poczęły się łaścić, kręcić z uciechy ogonami i lizać jej ręce. W podskokach uwijały się koło niej, dobijające się o jej powitanie. Jeden drugiemu zazdrościł i, odpychając się wzajemnie, cisnęły się do niej. Poglaskała obu i pobiegła pod okno.

Dziadek siedział przy stole, nakrytem już do wieczery i czytał gazetę. Obleciała dom naokoło, weszła przez garderobę, dała znak paluszkami zrywającej się pokojówce żeby milczała i wsunąwszy się na palcach do jadalnego pokoju, stanęła za dziadkiem i nagle zakryła mu oczy rękami.

Starowina w pierwszej chwili przeląkł się.

— Kto to? — zawołał i chwycił za ręce, co mu zasłaniały oczy. — Panno Ksawero, cóż to ma znaczyć?

— Janina wybuchnęła głośnym uśmiechem, że ją wziął za pannę Ksawerę.

— Dziadzio mnie nie poznał?

— A ty z kądem się tu wzięłaś figlarko? — pytał tuląc ją do siebie i całując w głowę.

— Spadłam z księżycy...

— Gdzie babcia?

— A czy ja wiem — spytała, ruszając z udaną obojętnością ramionami.

— No, no, nie żartuj-no; cóż się stało?

Chciała grać dalej komedią, ale w tej chwili Michał palnął z bata i powóz zatoczył się przed ganek. Niebawem weszła do pokoju babunia z Adamem.

— A to mnie tu ten berbec nastraszył — odezwał się dziadek. — Ja sobie siedzę najspokojniej, a tu łap mnie...

— I wie babunia za kogo mnie dziadus wziął? Za pannę Ksawerę.

— No, bo takie delikatne ręce. Myślę sobie: ktoby to mógł mieć inny, jak Ksawera.

— A z kądem-że to pan małżonek tak zna ręce panny Ksawery? — spytała babcia.

— Ależ Anusiu...

— No, no, będziesz mi się musiał wytłumaczyć z tego — mówiła, uśmiechając się — a tymczasem dawajcie kolacyę, bo Janinka musi być porządnie głodna i Adaś także.

O Adasiu nie wiem napewno; ale co panienska, to wcale nie myślała o jedzeniu. Nasycała ją radość, że już jest w domu. Rozglądała się z uciechą po pokojach, zajrzała w każdy kącik, pociągnęła za sznurek od zegara, żeby usłyszeć kukulkę kukającą godziny, pomacała figurki porcelanowe na komodzie, obejrzała klucze wiszące przy drzwiach, wsunęła się do sypialnego pokoju dziadków, gdzie się paliła lampka przed obrazem; była i w garderobie, żeby się przywitać z panną Ksawerą i Rózią, dziewczyną do obsługi. Zachwycała się wszystkim i co chwilę powtarzała: jak tu ładnie, jak tu miło! choć pokoiki były wcale niewykwintne, niskie, z białymi ścianami i niewielkimi oknami. Mieszkanie to rajem jej się wydawało; tylko dziwiło ją, że wszystko wydawało jej się daleko mniejsze niż dawniej. Ten stół na przykład, na który właśnie stawiano półmisek z dymiącymi się ziemniakami, byłaby przysięgła, że dawniej o wiele był większy i wyższy.

— No, siadaj — rzekła babka, nalewając z wazki kwaśne mleko na talerze. — Adasiu, ty obok Janinki.

— Nie, ja przy dziadku, ja przy dziadku — zawołała broniąc się od sąsiedztwa kuzynka i usiadła między babcią a dziadkiem.

To otoczenie wpłynęło tak na nią, że więcej mówiła, niż jadła. Chciała się nagadać z dziadkami za ten cały rok, przez który ich nie widziała. I byłaby jeszcze więcej mówiła, gdyby nie obecność kuzyna, która krępowała jej swobodę. Ile razy spojrziała w stronę, gdzie on siedział, urywała opowiadanie. Gniewało ją, że tak wlepiał w nią oczy i słuchał, co ona mówiła. Na co on ma słuchać, kiedy ona to nie dla niego, tylko dla dziadków opowiada?

— No, a jakże tam ze świadectwami? — spytał dziadek, po zaspokojeniu pierwszego apetytu.

— Podobno nagroda — wyrwał się Adam, za co dostał spojrzenie panny, który mu najwyraźniej mówiło: siedź sobie pan cicho, kiedy się pana nie pytają.

To mu powiedziała oczami, a dziadkowi odrzekła:

— Zaraz dziadzi pokażę mam w tor...

Tu urwała, spojrzawszy po sobie i na stół, gdzie leżała jej zarzutka i kapelusz.

— O mój Boże!

— Co się stało? — spytała babcia.

— Moja torbeczka... musiałam ją zgubić.

— To chyba, jak wysiadałaś z powozu, pasek się może rozwiązał.

— Pójdę poszukać — rzekł Adam, zrywając się.

— Możeby Jaśka posłać z latarnią — odezwał się dziadek.

— Znajdę i po ciemku. Nauka to światło, a że to świadectwo z odbytych nauk, więc powinienem po ciemku trafić do niego.

To powiedziawszy, z uśmiechem wybiegł.

— Widzisz jaki on grzeczny — zaczęła chwalić babcia — po nocy biega dla ciebie, choć niekoniecznie starsz mu się podobać.

— Ja, jemu?... Może mam mu jeszcze dziękować za to, że tak sobie żartuje ze mnie na każdym kroku? Babcia powinna mu zakazać i dziadunio także, bo to jest lekceważenie.

Oboje staruszkowie roześmieli się z poważnej miny, z jaką powiedziała te słowa.

— Jeżeli nie, to ja mu sama dam to uczuć. Jak babcię Kocham, tak się ani słóweczka do niego nie odezwę.

— Choć podziękować mu będziesz musiała.

— Można dziękować i bez słów, ot tak. — Tu kiwnęła główką poważnie, protekcyjnie i dumnie.

— Więc będziecie grali w mrućka — rzekł dziadek. — A to będzie zabawnie. Ciekawym kto kogo przetrzyma.

Starzy w ten sposób żartowali sobie z panienki, która jednak pomimo tego coraz poważniejsze stroiła minki na spodziewany powrót Adama.

Wrócił w dobry kwadrans, ze zgubą w reku, którą oddał Janince, za co dostał ów protekcyjony ukłon bez słów, którego próba odbyła się w czasie jego niebytności. Gniewało ją to, że musiała mu dziękować.

Dziadek wziął w rękę świadectwo i chciał je głośno czytać, ale panna na wszystkie świętości prosiła go, żeby czytał po cichu. Zrobiła to także ze względu na obecność Adama. Nie życzyła sobie, aby on słyszał, co o niej pisano, choć pisano bardzo pochlebnie.

Czas jakiś jeszcze potem ciągnęła się gawędka; dopiero kiedy kukułka wykukała jedenastą, dziadunio pierwszy zaczął namawiać do spania, z okazji że babunia zmęczona drogą, potrzebuje wypoczynku, a i młodym wczesny sen nie zaszkodzi. Nim się jednak rozeszli, była jeszcze długa dysputa między staruszkami, gdzie umieścić Janinkę. Dziadek chciał, żeby jak dawniej, sypiała z nimi; kazał jej nawet znieść z góry jej dziecinne łóżeczko, w które kto wie czyby się była teraz zmieściła. Babcia zaś utrzymywała, że to nie uchodzi, aby panna dorosła sypiała obok dziadka, że to nieprzyzwoicie i kazała jej posłać tymczasem w bawialnym pokoju. Adasia zaś, który dotąd zajmował ten pokój, przeniesiono do kancelaryi.

Poszedł tam ze świecą, ale nie zabawiwszy długo, wyszedł na ogród. Noc była prześliczna. Księżyc niedawno wysunął się z za ciemnego świerkowego lasu; srebrne światło

jego bielilo się na drobnych listkach róż, przekradało się przez gęstą grabową aleję i tworzyło w jej ciemnościach fantastyczne figury. Nad moczarami, które ciągnęły się z drugiej strony płotu, unosiła się mgła, także pośrebrzona promieniami księżyca.

Adam chodził czas jakiś po ścieżce, która szła brzegiem ogrodu, a z kąd szeroki otwierał się widok, bo wzgórze, na którym stał dwór, w tem miejscu się właśnie kończyło. Potem usiadł na ławeczce wśród jesionów, skręcił papierosa i, zapaliwszy go, oddał się dumaniom.

O czym dumał?... Któż to odgadnie. Myśl młodzieńcza ma szybkie skrzydła; wspomnienia jej nie obciążają, ale za to cała przyszłość otwarta przed nią i wszystko wydaje jej się możebnem. To tylko pewna, że często wśród marzeń jego przewijała się jasna główka kuzynki. I nic dziwnego: od dziecka nazywano ją jego narzeczoną, przyzwyczaił się do tego i uważał ją jako własność swoją, jako dopełnienie siebie. Kapryśne zachowanie jej się względem niego uważał za przelotny grymas dziewczęcia, który ustąpi przed wolą starszych i jego miłością. Wolał ją widzieć taką, niż zwracającą na niego sentymentalne spojrzenia i wzdychającą za każdym słowem. Dąsy Janiny były rodzajem pieprzyku, który zaostrzał apetyt, przeszkodę, którą młodzieńcza jego odwaga obiecywała sobie pokonać bez trudności.

Z tą nadzieją wracał do siebie, nucąc jakąś wesołą piosenkę, nagle ucichł, bo zbliżając się do dworku, spostrzegł w saloniku okno otwarte, a na jasnym tle światła lampki, główkę Janiny, opartą na rączce. Zadumała się widać mocno, bo nie słyszała jego kroków. Miłość własna podszepnęła mu, że marzy o nim. Był pewny, że pod wpływem tajemniczej, poetycznej nocy, która i jemu rozmiękczyła serce i rozmarzyła głowę, Janina będzie przystępniejszą słodkim uczuciom. Dla tego podsunął się pod okno, aby zawiązać z nią rozmowę. Ale zaledwie zapytał jej: kuzyneczka nie śpi jeszcze? — panna zerwała się co tchu, zamknęła okno z trzaskiem i spuściła sztory.

„A to dzika dziewczyna!” pomyślał sobie Adam i skonfundowany tą sceną, wrócił kwaśny i zły do siebie.

II

Nazajutrz rano Janina zerwała się wcześniej. Obudziło ją wschodzące słońce, które zaglądało do pokoiku, pomimo spuszczonej sztory, i gdakanie kur, gulgotanie indyków, dopominających się karmi. Wstała prędko, okryła się jako tako i podniosła sztorę. Złociste światło szeroką falą wpłynęło do pokoju, a przez okno widać było część ogrodu, pełną róż i zieloności, z kawałkami błękitu u góry.

Janina otworzyła okno i owionęło ją świeże powietrze i zapach kwitnących lip. Jakże rozkoszne przebudzenie w rodzinnym domu, jak odmienne od tego w klasztornych murach, gdzie nie słońce, tylko ponury głos dzwonu budził ją ze snu, gdzie było tak smutnie, posępnie! Tu wszystko żyło, uśmiechało się do niej. To też stojąc w oknie, uśmiechała się pod wrażeniem szczęścia, jakiego doznawała. Oczy jej biegały od krzaczka do krzaczka, od drzewa do drzewa: wszystko tu było jej znajome. Przypatrywała się z zajęciem, czy się co nie odmieniło, rozmawiała głośno, jakby z żywymi istotami, które ją rozumieć mogą, słuchała brzęku pszczół, co koło lipy unosiły się lekką, ruchomą chmurą i połyskiwały w słońcu. Bawiło ją świergotanie ptactwa, trzepoczącego się wśród krzaków; zachwycała się śpiewem słowika, co się odzywał w wiklinie i gniazdkiem jaskółek niedaleko okna, z którego wystawały żółte, szerokie dzióbki piskląt wyczekujących matki.

Potem znowu pobiegła do drugiego okna. Tu był widok na podwórzec i budynki gospodarskie. Stara Gertruda karmiła właśnie drób; bydło wychodziło w pole: koło stajen przygotowywano wóz do siana, środkiem zaś podwórza szła panna Ksawera do piwnicy, pobrękując kluczami, a za nią dwie sługi niosły ostatni podój. Janina nie namyślając się długo, wyskoczyła oknem i pobiegła za nią.

— Da mi panna Ksawera świeżego mleka się napić? — spytała, dopędziwszy pannę.

Było to pytanie całkiem zbyteczne, bo panna Ksawera ptasiego mleka nawet nie łałowalaby dla swojej panienki.

Napiwszy się, Janinka zaczęła dopytywać się o swoje dobre znajome, o krasulę, siwulę, wiśnioczę i ich potomstwo. Pogadała jeszcze potem to i owo, pozaglądała do różnych kątów w piwnicy, a potem wróciła do pokoju, wzięła z szafy prześcieradło i przez ogród na przelaj przez płoty pobiegła kąpać się do rzeki. Miała tam swoją ustron, miejsce dosko-

nale wybrane, bo i zakryte drzewami, i dno przejrzystej górskiej rzeki drobnym żwirem wysłane, i dostęp łatwy i murawa do rozbierania się. Delikatność jednak nie pozwala nam, przynajmniej w tej chwili, tam zaglądać. Wróćmy do dworu.

Dziadkowie przekonani, że ich pieszcotka śpi jeszcze w najlepsze, na palcach przechodzili koło jej drzwi. Dziadek wyjechał w pole, a babka przygotowywała kawę, aby ją podać Janince, skoro się tylko obudzi. Ale minęło pół godziny, godzina, babcia parę razy podchodziła pod drzwi; wciąż było cicho. Nareszcie kiedy dziadek wrócił z pola i nie zobaczył wnuczki, zdecydował się już zbudzić śpioszkę, czemu się babcia mocno sprzeciwiała, tłumacząc ją znużeniem po drodze. Po długich sprzeczkach pozwoliła uchylić tylko nieco drzwi. Niemalę było zdziwienie staruszków, gdy zobaczyli odrzuconą na bok kołderkę i puste łóżko, a w pokoju także nikogo. Otwarte okno tylko naprowadzało na ślad, że ptaszek frunął tędy.

Wyszli na ogród, szukali, wołali napróżno. Aż nagle ukazała się na płocie, zakryta do połowy krzakiem leszczyny, z włosami wilgotnymi, rozpuszczonymi, które przytrzymała jedną ręką pod bródką, a drugą zapinała prędko na piersiach popielaty płaszczyk. Z twarzyczką rumianą, uśmiechniętą, umytą zimną wodą, wyglądała jak rusalka.

— Tu jestem! — zawołała, śmiejąc się.

— A ty tam co robisz?

— Kąpałam się.

— Sama? Jakże można było! a nuż przypadkiem jaki!

— Nie bój się, babciu, znam rzekę.

— A teraz panna złodziejom drogę przez płoty pokazuje — zawołał dziadek — śliczna mi historia. Zleziesz mi ty zaraz z płotu, ty psotniku mały.

— Tylko ostrożnie — dodała babcia — bo możesz nogę zwichnąć, podrapać się...

Zanim jednak wypowiedziała swoje obawy, panna już była na ziemi i zaczęła, zamiast usprawiedliwienia się, całować staruszków.

— Jaka ona zimna! jeszcze rozchorować się może — odezwała się znowu babka, trzymając jej rączkę w swoich.

— Bo słońce jeszcze nie ociepliło wody. Ale nie bój się, babciu, zaraz się rozgrzeje, tylko potańczę z dziaduniem.

I nie czekając na pozwolenie, chwyciła dziadka wpół i zaczęła z nim obracać się po trawniku, przyspiewując jakąś polkę.

— Ależ Janino, dajże pokój! A to cały djabeł z tej dziewczyny — mówił dziadek staccato, obracając się mimowoli.

— Jeszcze chwileczkę, dziaduniu. La la la la la — mój złoty dziaduniu — la, la la!

— Bo już tchu nie czuję — wołał zadyszany starowina. — Janinko, słyszysz?

Zakręciła go jeszcze mocniej, a potem upadła z nim razem na darniową ławeczkę pod jabłonią, ucałowała go na podziękowanie w obie ręce i pobiegła do babci.

— Widzisz, babciu, już mi ciepło — o!

— Teraz znowu zgrzana, jak nie wiem co.

— Nic mi nie będzie.

— No, chodźmy już raz na kawę, boś pewnie głodna. Wybiegłaś tak całkiem naczczo. Nie całkiem, byłam już w piwnicy z panną Ksawerą i piłam mleko.

— Gdzie to już nie było.

— Ranny z niej ptaszek — dołożył dziadek — wcale nie po miastowemu. Dobrze, dziewczyno, to zdrowo.

Tak rozmawiając, szli ku dworowi. Janina prowadziła babcię, a dziadek szedł za nimi i nakładał do fajki tytuń z kapciucha. Panna Ksawera, zobaczywszy ich przez okno, cotchu posłała dziewczynę do kuchni po imbryk z kawą i śmietanką. Na stole, nakrytym białym obrusem, czekały już grzanki, przysposobione przez nie z okazji przybycia Janinki. W wesołych humorach, wśród szczebiotania rozgadanej wnuczki, siedli staruszkowie do śniadania.

Niezadługo potem drzwi się otwały i wszedł Adam.

— Nie można — zawołała żywo Janina, zrywając się.

Adam cofnął się.

— Dla czego? — spytał dziadek zdziwiony.

— Ja nieubrana — szepnęła ciszej.

— Co? co? nieubrana? Jaktó nieubrana?

— To negliż tylko.

— Ale facecye. Więc kiedy na bal idziesz w wyciętych sukniach, to nic; a tu panna ubrana od stóp do głowy, jak Bóg przykazał, i wstydzi się. Chodź, chodź, Adamie!

— Dziaduniu, bo ja odejdę.

— Ale nie odejdiesz, nie odejdiesz — mówił, zatrzymując ją. — Nie potrzebujesz robić takich ceregieli, przecież to twój krewny i do tego wujaszek. Powinnaś pocałować go w rękę — dodał, żartobliwie się uśmiechając.

Ośmielony przez dziadka, Adaś wszedł i ukłoniwszy się Janince, usiadł. Nie raczyła mu nawet skinąć główką na dzień dobry, bo była na niego obrażoną, że wszedł wbrew jej życzeniu. Niechby mu dziadek był pozwolił, ale kiedy ona nie chciała, nie powinien był wchodzić. Krok taki uważała za ublżenie sobie i dla tego przez cały czas śniadania nie zwracała na niego żadnej uwagi.

Po śniadaniu Adam wyjechał w pole. Widziała go, jak na kasztanku przedefilował koło okna. Spodziewał się zapewne, że będzie patrzyła na niego i chciał się popisać. To ją także rozgniewało. Uważała to za zarozumiałość z jego strony. Miałaby też na co patrzeć. Bojąc się, żeby i dziadkowie nie posadzili jej o podobne chęci, zapytała z lekceważeniem:

— Długo on tu myśli jeszcze nudzić nas swoją obecnością?

— Niby kto? — spytał dziadek.

— No, ten pan Adam.

— O, już jej tęskno, że odjechał, już się dopytuje o niego — mówił jowialnie starszek. — Ej, te dziewczęta, te dziewczęta! Jak siedział przy niej, to zdawało się, że go nawet nie uważa, a teraz ledwie odjechał...

— Ależ dziaduniu — zaczęła się tłumaczyć, oburzona do żywego takim posądzeniem.

— Nie bój się, wróci, wróci przed obiadem.

— Ależ ja nie chcę, nie potrzebuję. Ja się pytam, kiedy on ztąd pojedzie sobie na dobre.

— Może za rok, może później — mówił dziadek tym samym tonem.

— Ej, dziaduniu tylko chce mnie drażnić.

— Ależ nie, nie — objaśniła babunia. — Adaś jest u nas na praktyce, uczy się gospodarstwa. Ojciec jego życzył sobie tego.

— Więc on tu ciągle będzie siedział?

— Cóż to, nie kontentaś z tego, że będziesz miała kawalera na zawołanie? U nas tu nie ma ich do zbytku.

— Ależ ja nie chcę, nie potrzebuję żadnego kawalera, — zaprotestowała prawie z płaczem i z taką gwałtownością, że aż dziadek spojrział na nią zdziwiony.

— A tobie co się stało, dziewczyno?

— Upatrzyła sobie coś do Adasia — objaśniła babka.

— Ale co, cóż on ci zrobił? Dlaczego taka niełaska?

— Ja już wiem dobrze dla czego.

— No, to powiedz, dam mu burę, jeżeli zasłużył.

— Najlepiej niech mu dziadek nic o mnie nie mówi. Nie chcę, żeby myślał, że się nim zajmuję choć tyle... tyleczkę.

— No, to przynajmniej nam powiedz, o co ci chodzi?

— O nigdy, za nic w świecie — mówiła trzepocząc rękami.

Napróżno dopytywali się oboje starszankowie, rozciekawieni i zaniepokojeni nawet potrosze tym niewytłumaczonym wstrętem młodej panienki do młodego, dorodnego i tak dobrego chłopca, jakim znali Adasia.

— Może ci co powiedział takiego?

— Nie, nie — nic wcale.

— No, więc dla czego?

— Ja już wiem dla czego; ale nie powiem, nie powiem.

Zastanowiło to dziadka. To też skoro tylko Adam wrócił z pola, wziął go do swojej kancelaryi na konfesatę.

— Coś ty takiego zrobił naszej Janince? — spytał z poważną miną.

— Ja?

— Dziewczyna patrzeć nie chce na ciebie! powiada, że cię znieść nie może.

— Ja to także zauważyłem.
— I jakiż powód?
Adam ruszył ramionami.
— A czy ja wiem?
— Możeś jej co powiedział kiedy? Takie młodziutkie panienki bywają drażliwe i lada czem się obrażają.
— Nie miałem jeszcze sposobności zamienić z nią więcej nad kilka słów, i to przy cioci.
— To dziwne!
— Panieńskie kaprysy — oto wszystko.
— Jeśli tak, to ją zburczę jak się należy, zobaczysz.
— Nie rób tego, wuju, bo to jeszcze gorzej. To samo przejdzie. Nadąsa się, nadąsa i przestanie.

Ale minął dzień jeden, drugi, tydzień... a Janinka nie przestała dąsać się na kuzynka; obecność jego drażniła ją i zmieniała do niepoznania. Z dziadkiem była wesoła, roztrzepana, gadatliwa; ale skoro tylko wszedł Adam, stawała się milczącą, poważną. Na zapytanie wymierzone wprost do siebie albo zachowywała pogardliwe milczenie, albo zbywała je krótkimi słowami. Gdy go spotkała czasem na podwórzu, zaledwie raczyła mu niewyraźnym ruchem głowy odpowiedzieć na jego powitanie, nie patrząc nawet na niego, a spotkania się sam na sam lub rozmowy unikała z dziecinną bojaźnią. Dziadkowie w głowę zachodzili, co mogło być powodem tak dziwnego postępowania wnuczki, która zresztą dla wszystkich była nadzwyczaj grzeczną, przylepeczką prawie. Samego Adama już zaczął niecierpliwie zły humor kuzynki. Próbował nic sobie z tego nie robić, nie uważać na nią; siedział więcej w polu niż w domu, wziął się do gospodarstwa z ogromnym zapałem; ale zapiękną była, aby mógł ją ignorować, a kapryśne jej zachowanie się jeszcze bardziej uczucie jego podniecało, tembardziej, gdy dziewczątko, które kochało wszystkich i wszystko, począwszy od staruszków dziadków, aż do drobiu, do jaskółek nad okienkiem, do kwiatków w ogrodzie.

Raz niepostrzeżony przez nią wysłuchał, jak rankiem ze swego okienka z naiwnością dziecka zesłała dzień dobry kwiatkom: pytała ich jak noc przepędziły; rosę błyszczącą na ich listkach wyobrażała sobie jak resztki łez i przepraszała je, iż wczoraj zapomniała je podlać, bo musiała z babunią jeździć w sąsiedztwo. To znowu widział ją jak łapała muszki po szybie i podawała je pisklętom do gniazda, by pomódz ich rodzicom w karmieniu. Starej Gertrudzie asystowała zawsze przy sypaniu ziarna kurczętom i wstawiała się za nimi o większe porcy. Zabiegała nieraz na łąkę, gdzie bawiły się dzieci wiejskie, brała najmniejsze i najbiedniejsze w opiekę i zajmowała się nimi z macierzyńską czułością. Więc miała dobre serduszko, była dla wszystkich dobrą; tylko on jeden stanawił wyjątek. Ale dla czego?

Ta sprzeczność w postępowaniu musiała zapewne i piękne czytelniczki zadziwić. Nie chcąc nadużywać ich cierpliwości, nie będę czekał, aż Janinka zdecyduje się przed kim wypowiedzieć z tajemnic swego serduszka i powiem pod sekretem, że powód niechęci do pana Adama datował jeszcze od tych czasów, gdy był towarzyszem jej zabaw dziecinnych, gdy łapał dla niej motylki, robił huśtawkę, służył jej za wiernego tancerza na domowych zabawach i gdy oboje nazwano żartem parą narzeczonych.

Ośmioletniej panience podobała się ta zabawa w narzeczonych. Odprawili nawet raz na imieniny dziadka formalne wesele. W budce ogrodnika dwunastoletni synek państwa Topolnickich z sąsiedztwa, ubrany w odświętną koszulę, mającą niby reprezentować komżę, dał im ślub i związał ręce ręcznikiem. Potem odbyła się pod kasztanami uczta weselna, na którą sproszone dziatwę wiejską, a panna Ksawera, pełniąca obowiązki ochmistrzyni, wynosiła ze spiżarni coraz to nowe przysmaki dla gości weselnych, godząc kłócących się o smażone owoce lub nierówny podział czekoladki. Janinie podobała się wtedy ta zabawa bardzo. Ubrana w długi welon, zrobiony ze starej woalki, z bukietem przy boku, przechadzała się po uczcie z bukietem w ręku, przechadzała się po uczcie pod rękę ze swoim panem młodym z powagą dorosłej osoby; mówili o swojej podróży za granicę, o dzieciach, które mieć będą — słowem zachowywali się jak prawdziwe małżeństwo.

Ale potem, gdy zaczęła dorastać powoli na pannę, te wspomnienia dziecinne niepokoiły ją i straszły. Przypominając je sobie w klasztornych murach, czuwała obawę na myśl, że kiedyś będzie musiała spotkać się z towarzyszem owych zabaw dziecinnych. Gorący rumieniec oblewał ją wtedy; nie wyobrażała sobie, jak będzie mogła spojrzeć mu w oczy od wielkiego wstydu.

Starsi mimowiednie podtrzymywali i potęgowali w niej tę obawę, nazywając nieraz w rozmowie z nią Adasia jej narzeczonym. Te żarty panienska niedoświadczona, naiwna uważała za prawdę i zaczęła na dobre bać się tego pana Adama, który niewidzialny, nieobecny (wysłano go bowiem do szkoły rolniczej) wyrastał gdzieś daleko na jej pana i męża. Do powiększenia tego strachu przyczyniło się jeszcze i to, że Janina od jednej ze swych koleżanek dowiedziała się, iż według ustaw kościelnych, skoro panna da słowo wobec świadków, nikt już takiego ślubu rozwiązać nie zdoła, chyba sam papież. Panienska owa dowiedziała się o tem z jakiegoś przypadku, który właśnie stał się w jej rodzinie i nie omieszkała zakomunikować tego swoim koleżankom, chcąc uchodzić przez to w ich oczach za dorosłą i doświadczoną osobę.

Gdy Janinka usłyszała, ogarnęła ją trwoga niezmierna. Wszakże ona nietylko dała słowo ale była już zaręczoną i prawie poślubioną Adamowi. Kłamać przysięgę, było to tyle, co narazić się na klątwę kościoła, a Janinka wychowana była w bojaźni Bożej, którą pobyt w klasztorze jeszcze spotęgował. Może która z doświadczonych, a przynajmniej starszych koleżanek byłaby jej wyperswadowała te urojone skrupuły sumienia i nauczyła ją śmiać się z tego; uważała to, czego się dopuściła, za coś tak strasznego, że była pewną, iż wywołałoby to powszechne zgorszenie i może nawet spowodowało jej wydalenie z klasztoru.

Nieraz gdy słyszała swoje koleżanki układające najrozmaitsze projekta co do swojej przyszłości, mówiła do siebie z westchnieniem: „Ach jakie one szczęśliwe! One mogą marzyć, cały świat przed nimi otwarty, a mnie już nie wolno niczego się spodziewać, moja przyszłość już stoi przedemną wyraźna, jak wydeptana ścieżka, z której mi zboczyć nie wolno!” I w ślad za temi myślami poczęła nienawidzić prawie człowieka, który ją pozbawił rojeń młodości i narzucił się na przyszłego jej pana. Rozpieszczona i kapryśna dziewczyna oburzała się na taką tyranią: wspomnienia owego wesela pod kasztanem oburzały ją; a pana młodego nie cierpiała.

Ta niechęć do towarzysza zabaw dzieciennych wzrosła jeszcze więcej, gdy się dowiedziała — także od owej koleżanki, która tak dobrze obeznana była z ustawami kościelnymi — że zerwanie małżeństwa w podobnych wypadkach może nastąpić jedynie za zgodą obu stron. Wtedy to Janinka postanowiła sobie, że zmusi Adama postępowaniem swoim, aby wyrzekł się swego zamiaru. „Będę — mówiła sobie — dla niego nieznośną, będę mu dokuczała tak, że mu odejdzie z pewnością ochota do tego małżeństwa.”

I oto mamy wytłumaczenie zagadki, nad którą Adam i dziadkowie łamali sobie na próżno głowę.

Minęły już dwa tygodnie, a panna w niczem nie zmieniła się dla niego.

Nadeszła niedziela, druga niedziela pobytu jej w domu dziadków. Przez dwa dni przedtem panowały ulewne deszcze i rzeka przez którą trzeba było przejeżdżać do kościoła, przybrała znacznie. Janinka jednak uparła się jechać na sumę, pomimo że ani dziadek, ani babka się nie wybierali. Dziadek był trochę niezdrów, narzekał na darcie w nogach, babcia znowu miała zajęcia gospodarskie, bo jutro wypadła jarmark w miasteczku, na który trzeba było coś przygotować. Radzili staruszkowie i wnuczce, aby się w domu pomodliła. Ale na upór nie ma lekarstwa: gwałtem jechać i jechać zachciało się pannie. Oprócz modlitwy, ciągnęło ją to tam jeszcze, że może na pocztce będzie list od Zosi, której przybycia nadaremnie oczekiwała codzien; rada więc była jak najprędzej dowiedzieć się o przyczynie zwłoki.

— No, to pošlemy Michałka na pocztę — perswadował dziadek.

Nie i nie! Ona sama chce być w kościele i na pocztce.

— Gdyby choć Adam był w domu, to pojechałby z tobą i byłbym spokojniejszy.

To przypomnienie Adama jeszcze ją więcej podrażniło. Zaczęła tłumaczyć dziadkowi, że Michał powinien mieć przecie większe zaufanie, niż pan Adam; że ten pan Adam tak już dziadka zawojował, iż bez niego już nic zrobić nie może. Ale ona przekona wszystkich, że się bez pana Adama całkiem obejść można.

— Trzebaby się dowiedzieć od kogo, czy można przejechać bez niebezpieczeństwa — mówił znowu dziadek, chcąc jakim sposobem odwlec tę wyprawę do kościoła.

Ale i na to znalazła sposób uparta panienska. Wiedziała, że sołtys, który mieszkał niedaleko dworu, jeździł dziś z żoną na ranną mszę. Posłano więc do niego dowiedzieć się i służąca przyniosła uspokajającą odpowiedź, że nawet półszorki nie zmoczyły się w wodzie.

— Ha no, więc jedźcie w imię Boże! Tylko Michale ostrożnie — upominał dziadek — bo to rzeka niespokojna, bardzo niespokojna.

Michał zapewnił, że będzie czuwał nad panienką i że zna rzekę jak własną kieszeń — no i pojechali.

Kiedy minęli wikle rosnące nad rzeką. Michał zobaczywszy szeroką płaszczynę mętnej, żółtej wody, płynącej szparko, zatrzymał konie i począł kiwać głową.

— Co takiego? — spytała panienska.

— Coś ono mi się nie widzi, co sołtys mówił, że mu nawet półszorków nie zamoczyło, kiedy ano na drugiej stronie palików nie widać.

— Jakto nie widać? ja przecież je widzę.

— No, niby widać, ale je woda już ponakrywała, to i do powozu dostanie się pewnie.

— Usiądę całkiem na siedzeniu z nogami i przejeździemy.

Michał nie mógł się zdecydować. Skrobał się po głowie i oglądał; rad był dogodzić paniencie, która wskoczywszy na siedzenie, nachylała się ku niemu i prosiła: „Mój Michale jedź, jak mnie kochasz” — a znowu nie chciał robić tego na własną odpowiedzialność.

— A nuż przewróci powóz? Woda bystra.

— To musiałyby go do połowy chyba nakryć, żeby mogła przewrócić. No, nie namyślajcie się tak długo, Michale, tylko jedźcie, bo spóźnimy się na sumę.

— No, to niechże panienska dobrze się mnie trzyma za szyję, żeby się czasem nie przefurknęła z powozu, jak nim woda się będzie rzucała.

Panienska przyklękła na przednim siedzeniu, rączkami uczepiwszy się potężnych barów Michała.

— No, jedźmy — zawołała, zachęcając go.

— W imię Ojca i Syna — wio!

I puścił konie do rzeki. Wpadły od razu przy brzegu tak nagle, że woda chlusnęła w górę i obryzgała twarz i ręce Janiny. Furman pobladł: nie spodziewał się takiej głębi. Miał ochotę nawrócić, ale z powodu stromego brzegu i bystro płynącej wody było to niepodobnem. Trzeba więc było brnąć dalej. Najgorzej przebyć do połowy rzeki; potem już była bardzo płytka. Ale właśnie do tej połowy dobić się było trudno, bo konie coraz bardziej zapadały się, Michał nie umiał sobie tego wytłomaczyć. Wiedział, że koło brzegu rzeka była najgłębsza, a tu tymczasem im dalej jedzie, tem powóz bardziej się zanurza. Koniom już woda do połowy zakryła boki. „Co to takiego?” — pytał sam siebie i osłupiałym wzrokiem spojrział dokoła.

To spojrzenie wytłomaczyło mu wszystko. Zobaczył z przerażeniem, że wikle, przez które suchą nogą przejechali, zaczęły zalewać smętne fale. Zrozumiał, że był to gwałtowny przybór wody z gór. Brudna pianą i kawałki drzewa z przerażającą szybkością przesuwały się koło nich.

Janina, nie pojmując całego ogromu niebezpieczeństwa, które jej zagrażało, z pewnem zajęciem przypatrywała się tej wściekłości rozszalałego żywiołu; nie widziała przerażenia malującego się na twarzy wiernego sługi, którego śmiertelna ogarnęła trwoga.

— Dzień się mnie panienko co si! — zawołał ochryplym głosem i zaczął walić konie batem po grzbiecie.

Jedynie szybkość mogła ich ocalić. Konie z coraz większą trudnością posuwały się, sapiąc i robiąc bokami ze zmęczenia. Woda coraz więcej je zakrywała, aż nareszcie nie mogły już utrzymać się na nogach. Podniosły lby do góry, parskając i usiłowały pływać. W tej chwili powóz przewrócił się, a Michał i Janina wpadli do wody.

Pocciwy sługa puścił lejce, aby ratować panienkę, która go z całej mocy trzymała, niema z przestachu. Ale Michał był chłop ciężki, cięższy jeszcze w dwójnasób w ubraniu nasiąkłem wodą. Prócz tego zaplątał się między koła i dyszel przewróconego powozu; nie mógł więc wypłynąć na wierzch i zaczął tracić przytomność. Janinie zaś omdlały z wysilenia ręce, któremi go konwulsyjnie ścisnęła i pęd wody uniósł ją od niego. Przerażliwy,

rozpaczny krzyk wydobył się z jej piersi; utrzymywała się jakiś czas na wzdętych sukniach, a potem zanurzyła się pod wodę.

W tej chwili na brzeg rzeki nadjechał Adam, wracający do domu. Jeden rzut oka objaśnił go, co się stało. Bez namysłu spiął konia ostrogami i rzucił się w tę stronę, gdzie widział popielatą zarzutkę Janiny. Koń z trudnością dał się tam kierować, bo prąd rzeki go unosił. Ludzie, którzy z młyna wybiegli, widząc co się działo, wołali do niego, aby się wrócił, bo zginie. Ale on nic nie słyszał, nie widział! płynął zapatrzony oczami w to miejsce, gdzie przed chwilą znikła w odmętach Janina.

Już miał zamiar zeskoczyć z konia i dać nurka, aby jej szukać w głębinach, gdy tuż prawie obok niego ukazała się znowu. Pochwycił ją za rękę, która sterczała z wody, i powoli zaczął wyciągać coraz wyżej aż udało mu się ją wpół wynurzyć i przaważyć na konia. Była bezprzytomną.

Adam tulił ją do siebie, usiłując słowami pełnymi pieczyoty przywołać ją do życia. A tymczasem prąd ponosił jego konia, na szczęście do przeciwległego brzegu, inaczej, kto wie, czyby się byli uratowali, bo koń stracił siły i łeb jego coraz bardziej zanurzał się w wodzie; Adam zaś, pomimo młodzieńczej krzepkości, pomimo, że nie źle pływał, możeby nie zdołał z drogim swym ciężarem wydostać się na ląd. Prąd rzeki, który szedł tuż koło brzegu, pomógł mu do ocalenia. Jedną ręką, którą miał wolną, zaczepił się o wikliny, nachylone nad wodą. Koń uczuł grunt pod nogami i począł lubo z trudnością, po twardym gruncie spinać się na brzeg.

Nareszcie dostali się na bezpieczne miejsce. Adam osądził, że najlepiej będzie zawieźć Janinę prosto do dworu, gdzie łatwiej będzie można ocucić ją i przebrać. Potrzebowała przedewszystkiem suchego ubrania i ciepłej pościeli. Przyszło mu jednak na myśl, że takie nagłe pojawienie się z nieprzytomną może przerazić staruszków. Wahał się sam w sobie, gdy w tem ujrzał od dworu biegnących ludzi, a między nimi rozpoznał dziadka. Pastuch bowiem, pasący bydło, widział ze wzgóрка całą katastrofę na rzece i dał co tchu o tem znać do dworu. Dziadek z ludźmi pospieszał na pomoc, a w połowie drogi spotkał Adama z omdlałą Janiną.

Adam zdaleka już uspokoił przestraszonego staruszka, że niebezpieczeństwo minęło, że Janina ocalona, tylko z wysilenia i przestachu omdlała. Pobiegli ludzie, wzięli ją na ręce i zanieśli do dworu. Inni zaś poszli ratować Michała. I ten się jakoś szczęśliwie wydobył z niebezpieczeństwa; konie pociągnęły go wraz z powozem na płytsze miejsce, a ludzie z młyna pobiegli doń z pomocą. Całego nieszczęścia było tyle, że się napił dużo wody razem z piaskiem, który ciągle wypływał, i że u powozu dyszel się złamał. Najgłówniejsze, że panience nic się nie stało.

Gdy się dostała do ciepłego łóżka, pod troskliwą opieką dziadków, wnet przysła do przytomności. Babka aż się rozplakała z radości, gdy ją zobaczyła otwierającą oczy.

— Oj ty, ty, nic dobrego — mówił dziadek, burcząc ją — tyle nam strachu napędzić!

— Dajże jej pokój — wstawiała się babcia — nie widzisz, że biedactwo ledwo żyje? Może poleweczki winnej, co? to cię rozgrzeje. Zaraz ci przyniosę.

— Widzisz — burczał znowu dziadek po wyjściu babci — cobyś nam narobiła zmar-twienia. Gdyby nie Adaś, kto wie, coby się stało?

Panienska skrzywiła się, jakby po wypiciu gorzkiego lekarstwa.

— Więc to był on?

— A on, którego tak niecierpiałś.

— Teraz go więcej jeszcze nie cierpię — odrzekła z zaciętością.

— Co? za to, że cię ocalił? A ty niewdzięcznico!

— Znowu ją łajesz stary — zaczęła ją bronić babcia, która weszła z dymiącą polewką.

— Jak ci nie żal znęcać się nad takim biedactwem? Masz, posil się i nie uważaj co dziadek gada; ot, zwyczajnie, stary maruda. Niewdzięcznicą cię przeżywa. Ciekawam, dla czego niewdzięcznicą?

— Bo nie cierpi Adasia, a przecież jemu winna życie nie komu innemu.

— Nie cierpiała go dawniej, ale teraz...

— Teraz nie cierpię go jeszcze bardziej niż dawniej, nienawidzę go! — mówiła napół z płaczem.

— No, widzisz? słyszysz?

— Ale ona tylko udaje, jak cię Kocham, udaje.

Nie udawała jednak. Niecierpiała rzeczywiście teraz Adama więcej może, niż przedtem, nie dla tego, że ją ocalił, ale że musiała być wdzięczną za to. Zawdzięczać życie człowiekowi, którego niecierpiała, któremu robiła niegrzeczności, to było strasznym upokorzeniem dla niej; — rumieniła się ze wstydu i oburzenia na samą myśl, że mu będzie dziękowała. Bo przecież podziękować wypadało. Wołałaby była zapłacić Bóg wie ile jakiemu obcemu człowiekowi za wyratowanie, niż powiedzieć jemu kilka słów dziękczynnych.

To też ile możliwości oddalała tę okropną chwilę i choć już wieczorem była o tyle silną, że mogłaby była wyjść do kolacyi, nie wyszła, aby go nie spotkać. Na drugi dzień także nie wychodziła całkiem ze swego pokoju, pod pozorem osłabienia. Babcia przyniosła jej do łóżka mocnego bulionu z jajkiem i potrawkę z kurczęcia, a dziadek, choć niby zagniewany na niewdzięcznicę, poszedł sam do piwnicy po butelkę starego wina na wzmocnienie dla wnuczki. O Adasiu oboje staruszkowie nic jakoś nie wspominali, może dlatego, aby nie rozdrażniać osłabionej.

Nareszcie trzeciego dnia zdecydowała się na ten ciężki obowiązek. Chciała go zbyć jak najprędzej, bo jej ciążył na sumieniu. Wyszła więc do obiadu z rezygnacją, gotowa na to podziękowanie, jak ktoś, co, bojąc się zimnej wody, ma wejść do kąpieli. Gdyby był się zaraz pokazał, byłaby mu prędko wyrecytowała przygotowane w głowie podziękowanie i koniec. Ale Adam jak na złość nie pokazywał się. Co kto drzwi otworzył, jej krew uderzyła do głowy, a serce puk, puk, prędko i głośno, że aż biała sukienka drżała od tego; spuszczała oczy i na usta już wysunęły się pierwsze wyrzeczone wyrazy; „czuję się w obowiązku podziękowania panu za narażenie się” i t. d.; ale za każdym razem spotykał ją zawód, bo zamiast Adama, pojawiła się to dziewczyna z półmiskiem, to panna Ksawera z kluczykami, to karbowy po dyspozycy. Już obiad się kończył, a Adama nie było; co dziwniejsza zaś, dziadkowie wcale nie byli zdziwieni jego nieobecnością i nie pytali o niego.

Na kawie także go nie było i przy kolacyi się nie pokazał. Janina w głowę zachodziła, co się stało. Miała ochotę spytać się dziadków, ale się bała, by nie sądzili, że jej tęskno bez niego. Na drugi dzień jednak, przechodząc niby przypadkiem kolo stajen, zapytała Antka fornała, czy nie wie, gdzie jest pan Adam, bo starszy pan go potrzebuje. Parobek rozśmiał się jej w żywe oczy.

— Cóż tak śmiesznego? — spytała urażona.

— E, bo panienka się pyta, a niby to panienka nie wie, że pojechał.

— Nie wiedziałam. A dokąd pojechał?

— Czy ja wiem? Walek będzie pewnikiem wiedział, bo on go woził. Walek! — zawołał donośnym głosem na całe gardło — panienka się pyta...

Przerwała mu coprędzej Janina, z obawy, by dziadek przez okno nie usłyszał, że się dopytuje o Adama. Wołała sama pójść do Walka, który w szopie kręcił powrósła, i zapytała go niby od niechcienia, w przechodzie, dokąd pan Adam pojechał.

— Juści do ojców swoich.

— Na długo?

— Albo to on powiedział?

Powinna była ucieszyć się tą wiadomością, że sobie pojechał i to na czas nieoznaczony, a jednak, dziwne są kaprysy szesnastoletniej panienki — wcale jej to nie ucieszyło. Tak już jakoś przywykła do tego, żeby go widzieć przy obiedzie, przy wieczerzy, że nieobecność jego robiła na niej takie wrażenie, jakby czegoś brakowało w pokoju. Teraz, kiedy go nie było, przekonała się, że potrzebuje go mieć blisko siebie, choćby dla tego, aby mu dawać poznać, że o niego nie dba i że go nie cierpi. Byłaby może bardziej jeszcze uczuła pustkę po jego odjeździe, gdyby nie to, że w parę dni potem dostała list od Zosi, w którym jej donosiła, że ojciec jej już jest w Krakowie i że wybierają się do nich. Zaprzętnęła sobie teraz głowę Zosią i zapomniała całkiem o Adamie.

III

W gruby tom urosłaby ta powiastka, gdybym chciał opisywać wszystko, co robiły i co mówiły Zosia i Janina, gdy się ujrzały po tygodniowej zaledwie rozłące. Dnie były dla nich zakrótkie, nie mogły się nagadać dowoli; to też nocami wysiadywała jedna drugiej na łóżku i nieraz tak się nagadały, iż dopiero bielejące od wschodu niebo przypominało im, że trzeba iść spać. To, co w klasztorze mówiły, to się nie liczyło, bo naprzód nie mogły

tam nigdy długo rozmawiać ze sobą, a powtórę argusowe oczy ochmistrzyni ciążyły na nich i odbierały im swobodę. Ale tu nic ich nie krępowało, nikt ich nie pilnował, mogły nagadać się do woli, o czym tylko rzewnie chciały.

Zosia opowiadała co się działo w klasztorze po wyjeździe Janiny, kiedy która z koleżanek opuszczała klasztor, przytaczała wszystkie towarzyszące temu okoliczności. Opowiadała jej potem o swojej Ukrainie, o przyjemnościach, jakie ją czekały w domu, i o najbliższych sąsiedztwach. Najwięcej jednak do mówienia miała Janina, bo tu na wsi, gdzie przeżyła dziecinne lata, każdy przedmiot nastრęczał jej wspomnienia, z którymi chciała podzielić się ze swoją przyjaciółką. Tu z tej jabłoni spadła raz, gdy miała sześć lat i rozcięła sobie czoło tak, że dotąd pozostała blizna. Tam w tej brzozonej altance siadywała często z matką swoją, która uczyła ją prześlicznych wierszy i robótek. Ta osmalona lipa z bocianiem gniazdem to pamiątka po wielkim pożarze, który zniszczył gumna i śpichlerz. Ten krzyż na wzgórzu to z czasów, kiedy panowała cholera i tam chowano umarłych; ona już wtedy miała lat pięć i jak przez sen przypomina sobie ową straszną klęskę, która do połowy prawie wieś wyludniła.

Miała także i wesołe wspomnienia i tych nawet większy nierównie był zapas. Na przykład na ławeczce pod lipą na podwórzu siedział biskup, kiedy zwiedzał dyecezyą i słuchał dzieci katechizmu. Ubrano ją wtedy w białą sukienkę i niebieską szarfę, miała długie loki i wianek i szła na czele dziatwy wiejskiej, poubieranej w białe koszulki. Odpowiadała biskupowi śmiało i dostała za to obrazek Anioła-stróża, który dotąd jeszcze ma w książce od nabożeństwa. Na tym podwórzu urządzano co rok dożynki, na które się zjeżdża całe sąsiedztwo, a ona i inne panienki przebierały się wtedy za krakowianki i tańczyły razem z czeladzią. Opowiadała jej również o srebrnym weselu dziadków, na którym ona była druchną, choć miała dopiero trzy lata. Do każdego takiego opowiadania dodawała mnóstwo epizodów i objaśnień o osobach, które brały w tem udział, co niemało potrzebowało czasu. Tylko o owym ślubie z Adamem w budce ogrodnika nie wspomniała ani słóweczka, bo wstyd ją było przed przyjaciółką przyznać się do tego, co ona nazywała „błędem młodości”.

Przez cały dzień prawie nie rozłączały się; chodziły razem do spiżarni, do piwnicy, do ogrodu, w pole do żniwa, lub na łąki do kosiarzy. Gdy w białych sukienkach przebiegały od jednej kopy siana do drugiej, patrzący z daleka mógłby je być wziąć za dwa motyle igrające w słonecznych promieniach.

Najulubieńszem miejscem ich przechadzek był las, a raczej lasek na stoku góry, zarosły przeważnie młodemi grabami i krzakami leszczyny, z pomiędzy których gdzieniegdzie strzelały do góry białe pnie brzozy, krępe, sękaty dęby, a zpod góry uwieńczony był ciemno zieloną ścianą świerków i sosen. Tam, gdzie się kończyły świerki, a zaczynały liściaste drzewa, prawie w połowie wzgórza, szła szeroka, trawiasta ścieżka, która, otoczona młodą grabiną, wyglądała jak aleja ogrodowa. W niektórych miejscach zielona ściana grabiny przerywała się, tworząc niby bramę, niby olbrzymie okno, z którego był prześliczny widok, szeroki widok na całą okolicę.

W jednym takim otwartym zakątku panienki miały swoje uprzywilejowane miejsca do siedzenia. Było ono wysłane mchem i wrzosami; niżej rozkładały się do słońca wzorzyste liście ostrejżyny, tu i owdzie ożywione białym kwiatem, a dalej nic już nie zasłaniało widoku. Cała okolica widna była jak na dłoni, zasłana niby kawałkami różnokolorowych materyi, w których przeważał złocisty kolor dojrzałych zbóż, lub zżętych ściernisk. Między temi rozlicznymi odmianami żółtego koloru zieleniły się lekkie, przejrzyste, łany owsa, a długie pasma kapusty i ziemniaków wydawały się jak gąsienice olbrzymie. Gdzieniegdzie zaczernił się sosnowy las, albo zabielała wioska otoczona kępami zielonych sadów. Na wzgórkach kościoły strzelały w błękitne niebo wieżycami, których blaszane dachy błyskały w słońcu jak lusterka, podobnie jak i rzeka, która, wijąc się niby srebrna wstążka wśród tego szerokiego krajobrazu, w niektórych zakrętach rzucała oślepiające blaski. Duży kawał ziemi widać było z tego miejsca, ale więcej jeszcze nieba. Patrząc na to lazurowe niebo, emaliowane białymi obłoczkami, rzeczywiście doświadczało się tego, co mówiła Janina, że chciałoby się pożyczyc skrzydeł od jaskółki, by poszybować po tym niezmiernym przestworze. Panienki nie miały jaskółczych skrzydeł, ale miały za to oczka takie jak jaskółki; to też upędzaly się niemi na wyścigi po okolicy, a co chwila zwracały się ku sobie, aby sobie powiedzieć, jak tu pięknie. Janinka mówiła to tonem zapytania,

a Zosia jej potakiwała i przyznać musiała, że tu świat weselszy, niż na Ukrainie, że o ma i tu gdzie pohulać, ale ma także czem się zająć, ubawić, podczas gdy na bezmiernych stepach uczuwa tęsknotę i smutek wskutek owej nieskończoności.

Dla rozerwania przyjaciółki, Janina prowadziła jej myśl i oczy od dworu do dworu — dwory łatwo rozeznac można było po topolowych alejach i opowiadała jej kto gdzie mieszka, wszystkie szczegóły, które wiedziała o sąsiedztwach. Gdy opowiadanie się wyczerpało, brały się albo do czytania książki, albo do robótki. Nikt im tu nie przeszkadzał, bo miejsce było ustronne, zaciszne; czasem, tylko bąk zabrzączał, zawikławszy się we wrzosa, albo ptaszek furknął z poblizkiego krzaka. Wszędzie było cicho, słonecznie; muszki roily się w ciepłym powietrzu, szafirowe nimfy z przezroczystymi skrzydełkami siadały na listkach, kołysząc się zlekka, i motyle uganiały się po słońcu.

A prawda... zapomniałem jeszcze o starym Azorze, który zwykle towarzyszył pannom na te wycieczki do lasu. Odegrywał on tam przy nich rolę opiekuna i stróża i biadaby było natrętnikowi, któryby się ośmielił zjawić w tej samotnej ustroni. Za lada szelestem w krzakach Azor drzemiący podnosił się zaraz na przednie łapy, wystawiał mokry nos do góry, wietrząc niebezpieczeństwo, a gdy się przypadkiem pokazał kto, czy leśny, czy dziewczyna jaka zbierająca patyki, Azor wyszczerzał białe zęby groźnie i rzucał się z taką zaciętością, że panny z trudem tylko mogły przywołać go do siebie i uspokoić. Pod taką więc opieką mogły bezpiecznie chodzić wszędzie, nie obawiając się niczego, i dziadkowie byli także o nie spokojni, wiedząc, że przy Azorze nic im się złego stać nie może.

Kąpiel w rzece należała także do ich codziennych przyjemności; używały jej panienki z rozkoszą, a tak przytem broiły i hałasowały, że babunia jednego razu, doglądając ludzi w ogrodzie, usłyszawszy krzyki od strony rzeki, była przekonana, że się jakie nieszczęście wydarzyło i co tchu pobiegła tym strwożona. Tymczasem zastała obie swywołnice, bawiące się w najlepsze, pluskające na się wodą, której kropelki spadały im na głowy, a zarumienione ich twarze błyskały w słońcu jak tysiące dyamentów. Babcia zburczała je, że jej takiego strachu napędziły, za co ją serdecznie wycalowały i pomoczyły.

Tak minął tydzień tej uciechy. Ojciec Zosi miał wprawdzie zamiar zabawić tylko dni kilka, ale na usilne prośby gospodarzy przedłużał z dnia na dzień swój pobyt. Dziadunio kontent był, że znalazł partnera do szachów, których był amatorem wielkim; odszukał przytem jakieś dalekie pokrewieństwo z ojcem Zosi, zaczęli wspólnie odgrzebywać rodzinne tradycje i czas schodził im przyjemnie na gawędce, grze w szachy i chodzeniu koło gospodarstwa. A że ojciec Zosi nie potrzebował się znowu tak bardzo śpieszyć do domu, bo miał tam kogoś, co go w gospodarstwie zastępował, więc ulegając serdecznej gościnności staruszków i prośbom córki, zdecydował się zostać jeszcze do imienin gospodarzy, które wypadły tuż po sobie, bo dziaduniowi było Jakub, a babci Anna. Panny miały w taki sposób zapewniony jeszcze cały tydzień przyjemności i używały też ich całym sercem.

Jednego dnia, kiedy siedziały w swojej ustroni w lesie, robiąc dla babci na imieniny szydełkowy obrus, na drodze, która wiodła od rzeki ku dworowi, ujrzały bryczkę, zaprzęzoną w parę siwków, które szybko pomykały, wznosząc tuman kurzawy. Tuman ten, rozciągając się szeroko po polu, dochodził aż ku lasowi.

— Ktoś jedzie. Może do was — odezwała się Zosia.

Janina przyłożyła rączkę do czoła i wpatrzyła się przed siebie, ale migająca się ciągle za topolami bryczka nie dozwalała poznać, kto jedzie. Dopiero koło mostku odsłoniła się całkiem i Janina, poznawszy zapewne po ubraniu siedzącego na bryczce mężczyznę, oblała się żywszym rumieńcem, potem sfałdowała czoło kapryśnie i usiadła.

— Któż to? — spytała Zosia.

— E, to... niby mój wuj.

— Masz wuja? Nie wspominałaś mi nigdy o nim.

— Bo to daleki bardzo.

— I zapewne rzadko u was bywa?

— Owszem, ale ja go znieść nie mogę.

Na tem urwała się rozmowa i panienki zajęły się robotą. Janina, więcej jeszcze może niż Zosia, nie miała jakos dzisiaj ochoty wracać do domu i kiedy Zosia parę razy zabierała się, aby już iść, zwlekała pod różnemi pozorami. Nareszcie musiała przecieź iść, bo zmierzchać się już zaczynało i na seledynowym niebie wieczorna gwiazda zabłysnęła tuż

nad topolą. Zdawało się, że gdyby kto silnie zatrzęsł topolą, toby spadła na ziemię, jak dojrzałe jabłuszko.

Rozmawiając o tej gwieździe, która, im bardziej ciemniało niebo, tem jaśniej występowała, doszły do domu, gdzie ich spotkała od dziadków bura, że tak długo bawiły, że przemoczą po rosie nogi i dostaną kataru. Po wyrecytowaniu tej przygotowanej bury, dziadek nie omieszkiał przedstawić Zosi Adama, a Zosia nie omieszkiała podczas wieczery szepnąć Janince, że to bardzo przystojny mężczyzna.

— A gdzie ten twój wuj się podział? — spytała jej potem, gdy dziadek usiadł do szachów.

— No, to właśnie on.

— Jakto, ten młody, to twój wuj? — zawołała ze zdziwieniem Zosia.

— Mówiłam ci, że daleki.

— I ty jego nie cierpisz?

— Ach, jeszcze jak!

— I za co?

— Bo nieznosny, przekonasz się o tem sama.

Nie potrzebowała długo czekać na to przekonanie się, bo zaraz nazajutrz rano nadarzyła jej się sposobność rozmawiania z nim dłużej. Spotkał ją w alei grabowej, gdzie siedziała sama, czytając książkę. (Janina była jeszcze w pokoju, nieubrana.) Adam, przechodząc tamtędy, powitał ją ukłonem i uważał za obowiązek zagadać do niej słów kilka. Z początku trzymała się sztywno i zimno, przygotowana na to, że ma do czynienia z człowiekiem nieznośnym; gdy jednak po zamianie kilku zdań przekonała się, że ten nieznośny człowiek jest wcale miłym i przyjemnym w rozmowie zapomniała o przybranej chwilowo roli i rozgadała się z nim na dobre, a im więcej z nim rozmawiała, tem znajdowała go miłszym i przyjemniejszym. W rozmowie potrąciła o Ukrainę. Był to przedmiot niewyczerpany dla Zosi, zakochanej po uszy w swoich rodzinnych stronach, a że Adam nie znał wcale Ukrainy, więc usiłowała skreślić mu jej obraz w jak najpowabniejszy sposób. Tak się ożywiła, rozgadała, a Adam tak umiał uważnie słuchać i trafnymi zapytaniami lub wykrzykami zachwyty zachęcać ją do coraz żywszego opowiadania, iż ani się spostrzegła, jak im zbiegła godzina. Dopiero głos Janiny, wołającej ją przez okno, przerwał tę miłą rozmowę. Pożegnała Adama skinieniem głowy i uprzejmym uśmiechem i pobięła do pokoju.

— Tyś już ubrana? — spytała Janiny zdziwiona.

— Już od godziny.

— Przecież niedawno, gdy wyszłam, byłaś jeszcze w negliżu.

— Niedawno? o ósmej.

— A teraz która?

— Wpół do dziesiątej.

— Być nie może?

Spojrzała na zegar i przekonała się, że Janina jej nie zwodziła. Było już rzeczywiście wpół do dziesiątej. Tak więc blisko półtorej godziny rozmawiała z Adamem, a byłaby przysięgła, że zaledwie kwadrans.

— A to czas mi zleciał!

— Gdzież ci zeszedł tak przyjemnie?

— Rozmawiałam z twoim wujem.

— Tak? — spytała Janina z pewnym odcieniem cierpkiej ironii w głosie.

— Wiesz, że znalazłam go wcale innym, niż mi go przedstawiłaś.

— Jesteś niewybredną.

— O przepraszam. Pan Adam mógłby i najwybredniejsze gusta zadowolić. A jaki przystojny! prawdziwie mężka piękność. Gdybym nie wiedziała, że się tu urodził, przysięgłabym, że to Ukrainiec czystej krwi. Brunet, twarz smagława, nos orli i do tego szafirowe oczy.

— Jak widzę, toś mu się bardzo szczegółowo przypatrywała — rzekła z przekąsem Janina.

— Bo to mężczyzna całkiem w moim guście.

— Nie zazdroścę ci takiego gustu.

Zosia bystro, przenikliwie spojrzała w oczy przyjaciółki i, biorąc ją za rękę, rzekła:

— Janinko, powiedz mi szczerze, co między wami zaszło?
— Ależ mówię ci, że nic.
— Może jest niedość grzecznym dla ciebie, niedość się tobą zajmuje?
— Owszem, aż nadto.
— I to cię gniewa?
— Spodziewam się.
— Wiesz, doprawdy, że nie rozumiem cię. Bo gdyby mną chciał się zajmować taki miły i przystojny chłopiec, tobym się wcale o to nie gniewała.
— Odstępuję ci go całkiem, jeżeli ci się tak podoba.
— I nie będziesz zazdrosną o niego? — spytała filuternie.
— Ja? — i zapytaniu temu towarzyszył taki wyniosły, lekceważący uśmiech, że Zosia uważała za stosowne przerwać tę rozmowę.

Po południu całe towarzystwo pojechało we dwa zaprzęgi do pustelnika, który mieszkał o niecałą milkę między lasami, w uroczej ustroni. Panie jechały w powozie, panowie bryczką; że jednak na samo miejsce dojechać nie można było, więc tam, gdzie się powozy zatrzymały, ojciec Zosi podał ramię babuni, aby ją poprowadzić ścieżką przez las.

— No, a wy, panny — odezwał się żartobliwie dziadunio — musicie ciągnąć węzłki o kawalera, bo macie tylko jednego.

— Ja pójdę z dziaduniem — zawołała żywo Janina i przytuliła się do ramienia staruszka.

— W taki sposób — rzekła Zosia — będziesz pan musiał mnie prowadzić. Dostał się panu ten ciężar nie drogą wolnego wyboru, ale z konieczności.

— Tak, tylko że konieczność ta jest zarazem dla mnie największą przyjemnością.

Był to zwyczajny dzisiaj komplement, a jednak Janina czuła się tem dotkniętą i aby nie słuchać dłużej rozmawiających, pociągnęła dziadka naprzód, pod pozorem zrównania się z babunią. Młodzi tymczasem pozostali nieco w tyle i musieli bardzo wesołą prowadzić rozmowę, bo często rozlegał się głośny, wybuchający śmiech Zosi.

— Czemu ty mnie tak ciągniesz? Bój się Boga dziewczyno, ja ci nie nastarczę — upominał dziadek. — Poco się tak spieszysz?

— Bo babunia...

— Ależ babunia nam nie ucieknie.

Rada nierada, musiała zwolnić kroku, a wesołe chichotanie Zosi coraz wyraźniej ją dolatywało.

— Jak ta Zosia przeraźliwie się śmieje — odezwała się z niecierpliwością. — Aż w uszach świdruje.

— Nieznośnie? Mnie się przeciwnie wydaje, że twoja przyjaciółka ma bardzo przyjemny głosik, jak dzwoneczek.

— Ale żeby tak ciągle się śmiać, to nieprzyzwoicie.

— Odkądże to zrobiłaś się taką sensatką? Przecież wczoraj jeszcze broiłyście tak, że was uciszyć nie można było.

— To co innego, bośmy były same.

— A cóż to, Adam straszędło, żebyście się przy nim śmiać nie mogły? Uroiłaś sobie coś do tego chłopca, a widzisz, że Zosia bardzo przyjemnie z nim się bawi.

— A niech się tam bawią.

Nie chciała już więcej mówić o tem, bo ją gniewało, że dziadek nie trzyma jej strony.

W pół godziny później wszyscy znaleźli się koło mieszkania pustelnika. Był to mały drewniany domek bluszczem i powojami tak zakryty, że wyglądał jak altanka, tyłem oparty o skałę, na której stoi krzyż, odbijający czarnymi ramionami na tle zieloności lasów i błękitu nieba. Tam było miejsce modlitwy pustelnika.

Nie był to pustelnik w rodzaju średniowiecznych ascetów; może jakaś burza w życiu wyrzuciła go ze społeczeństwa, może zamilowanie natury zapędziło go tutaj. Był cichy i małomówny; ale nie stronił od ludzi i bywał po kweście w okolicznych dworach. Adama i Janinę znał jeszcze dziećmi.

Starzy rozpoczęli z nim pogawędkę, a młodzi poszli na skały zbierać kwiaty. Janinę drażniło to jednak, że Zosia zanadto była uprzejmą dla Adama, ciągle trzymając się przy nim; zostawiła ich więc, żeby się dowoli nacieszyli sobą, a sama wróciła do starszych. Pustelnik spostrzegł jej kwaśny humor.

— Jakoś narzeczony się sprzeniewierza — odezwał się żartobliwie.

Tego już było zanadto dla rozdrażnionej kapryśnicy. Odeszła zadąsana na bok i zaczęła płakać. Pierwsza babka to spostrzegła i podeszła do niej.

— A ty czego płaczesz Janinko? co ci się stało?

— Nie potrzebuję, żeby mnie prześladowano wciąż tym narzeczonym, bo ja go nie chcę!

— Ależ nie bądźże dzieckiem, przecież to tylko żarty — uspokoiła ją babka.

Janinka jednak mimo to nie mogła się powstrzymać od płaczu; nerwowe rozdrażnienie, którego doznawała przez cały dzień, spowodowało ten wybuch spazmatyczny. Nie miała siły powstrzymać się od tego, jakkolwiek starała się zapanować nad sobą, choćby dla tego, żeby nie poznano jej, że płakała. Rozgrzewała co tchu chuchaniem w chusteczkę i osuszała nią oczy. Mimo to Zosia, wróciwszy z pękiem kwiatów, poznała to teraz i zaniepokojona spytała, co się jej stało.

— Głowa mnie rozboleła tak boleśnie, że nie do wytrzymania.

— Zrobię ci kompresik, to ci ulży.

Złożyła w kilkoro chusteczkę, zmaczała w pobliżkiem źródelku i obwiązała czoło przyjaciółce. Janina musiała przyjmować te oznaki troskliwości, aby się nie zdradzić. Pozwalała sobie kłaść zimne okłady na głowę, choć właściwie bardziej serduszko tego potrzebowało.

Po jakimś czasie wrócił znowu i Adam. Trzymał w reku bukietik leśnych kwiatów, bardzo artystycznie ułożony. Miał widocznie ochotę oddać je Janince, ale zobaczywszy ją cierpiącą, spuścił na dół rękę, w której trzymał bukiet i zapytał ją troskliwie:

— Co to kuzynce?

— Głowa mnie rozboleła, ale mi już lepiej — odrzekła, nie patrząc na niego.

Po podwieczorku, który trwał dosyć długo, a w którym i pustelnik brał udział, towarzystwo zebrało się do powrotu. Rózek księżycy już pokazał się na niebie, kiedy doszli do powozów. Podzielono się teraz w ten sposób, że dziadunio zabrał Zosię do siebie, żeby, jak mówił, było im weselej przez drogę, a Adama zostawił przy żonie swojej i Janinie dla bezpieczeństwa.

Wieczór był piękny, ciepły. Cisza, jak panowała wśród lasu, zapach żywiczny świerków, tajemnicze cienie, dziwnie miękkie, łagodnie usposobiły nerwową panienkę i rozmarzyły jej główkę.

Nie śmiała podnieść oczu na Adama, siedzącego naprzeciw niej, bo czuła że wzrok jego spoczywa na niej i dziwna rzecz, nietylko jej to nie gniewało, ale doznawała jakiegoś rozkosznego wrażenia. Raz, kiedy powóz silniej się zakolysał, z przestrachu chwyciła się jego ręki. Zatrzymał ją dłużej, niż tego wymagało chwilowe niebezpieczeństwo, a kiedy wróciła do dawnej pozycji, ze zdziwieniem spostrzegła, że bukietik Adama znalazł się w jej ręku. Jak się to stało i kiedy, nie mogła sobie wytłumaczyć. Mimowiednie podniosła go w górę, aby powąchać. Potem zaczęli coś mówić o piękności wieczoru i jeszcze o czymś — ale o czym, tego sobie nigdy przypomnieć nie mogła; wiedziała tylko, że jej się bardzo mile rozmawiało i musiała przyznać w duszy Zosi, że miała słusność, znajdując przyjemność w rozmowie z Adamem. Gawędzili półgłosem, bo babcia drzemała. Ten szept nadawał także niemało uroku ich rozmowie.

Kiedy zajechali przed dom, zdawało jej się, że Adam wysadzając ją z powozu, uściśnął lekko jej rękę. Miała ochotę odwzajemnić ten uścisk, ale nie było czasu i, prawdę powiedziawszy, nie miała też na to odpowiedzi. Jakkolwiek wieczera czekała już na nich na stole, pobiegła jeszcze pierwszej do swego pokoiku, włożyć do wody bukietik, który dostała od niego, a jeden kwiatek gentiany urwała z bukietu i włożyła do książki od nabożeństwa. Potem dopiero rozpromieniona, dziwnie jakoś błogo usposobiona, wróciła do jadalnego pokoju, gdzie zastała już całe towarzystwo siedzące przy stole. Uważała przy wieczerzy, że Adam był bardzo małowimny, choć Zosia sąsiadka jego ciągle budziła go z zadumania pytaniami. I to ją cieszyło, że mało mówił i że tak mało zajmował się Zosią.

Rozeszli się wcześniej, bo staruszkowie byli trochę znużeni drogą, a Zosia senna. Janina jednak nieprędko położyła się spać. Długo, długo w noc siedziała przy otwartym oknie, zapatrzona w ciemny ogród, po którym przelatywały świętojańskie robaczki. Może spodziewała się, że przyjdzie, jak owej pierwszej nocy, i spyta jej, czemu nie śpi. Ale Adam nie pokazał się wcale. Mimo to nie odchodziła od okna: tak jej dobrze było siedzieć

i marzyć. Wśród rozlicznych myśli, które jej się przesuwały po głowie, przypomniała sobie także, iż mu jeszcze nie podziękowała za ocalenie. Było to bardzo niegrzecznie z jej strony i przyrzekła sobie podziękować mu serdecznie jutro, skoro się tylko z nim zobaczy.

Już po raz drugi koguty na basztach trzepotały skrzydłami i piał, kiedy się zdecydowała iść spać. Usypiała z myślą o Adamie i dniu jutrzejszym. Niecierpliwie czekała tego jutra.

IV

Ranek był trochę jakby senny. Lekki deszczyk mżył i liście w ogrodzie przysypał drobnymi perłkami rosy. Janina spała w najlepsze. Znużenie objęło ją i zatrzymało w łóżku dłużej niż zwykle. Kiedy się obudziła, zdziwiła się najprzód, że Zosi już nie było w pokoju, a potem, że na zegarze była już dziewiąta. Zerwała się i copędzej zaczęła się ubierać. Pilno jej było wyjść, bo miała nadzieję spotkania Adama, a szło jej o to spóźnione podziękowanie. Nie zawiodła ją też nadzieja, bo zaledwie wyszła, zobaczyła go we wrotach stodoly, gdzie młócono do siewu. Janina pobiegła żywo w tę stronę, ale radość jej wnet zgasła, skoro, przyszedłszy bliżej, zobaczyła przy nim Zosię. Siedziała na snopkach słomy, niby na złocistym tronie, ułożonym dla niej starannie, zapewne przez samego Adama — jak się domyślała Janina. Zosia podnosiła co chwila oczy z filuternym uśmiechem na stojącego przed nią młodzieńca i w gęstych, białych ząbkach gryzła ździebelko słomy. Z tą filuternością w spojrzeniu, z tą przechyloną główką było jej bardzo do twarzy; Janina jednak zgorzozna była tą kokieteryą przyjaciółki. Miała urazę do niej, że obecnością swoją przeszkodziła jej podziękować Adamowi, jak sobie to wczoraj ułożyła, Przy niej nie chciała tego zrobić. Wahala się, czy zbliżyć się do nich, czy nie. Byli tak zajęci sobą, tak zagadani, że nie uważali zupełnie jej obecności. Janina, patrząc na nich, doznawała dziwnie przykrego uczucia, jakby jej coś silnie ścisnęło i serce; robiło jej się tak, jakby miała zemdleć. Napadała ją ochota podejść po za stertę słomy tuż pod wrota i podłuchać, o czym oni mówili. Wtem Adam wziął za rękę zaplonioną Zosię i pocałował ją w tę rączkę kilka razy, czego mu ona wcale nie broniła, owszem, zdawało się Janinie, że go uścisnęła i patrzyła mu przytem w twarz tak śmiało, ale to tak śmiało, że ona nigdyby się na to nie zdobyła. Biedna Janinka doznała dziwnego bólu w sercu. Nie potrzebowała już podsłuchiwać; oczy powiedziały jej więcej, niż życzyła sobie wiedzieć. Wróciła do domu smutna. Tak nagle pusto zrobiło się koło niej. Zwątpiła teraz o przyjaźni, oburzała ją mezka obłuda i nic, nic jej nie cieszyło.

Pierwsza rzecz, która wpadła jej w oczy, gdy wróciła do swego pokoju, były to kwiatki, które on dał jej wczoraj, a które z taką troskliwością pielęgnowała. Jakże była nierozsądna! Zbliżyła się szybko do stolika, porwała bukiet i wyrzuciła go za okno.

— Tak — zawołała, siadając zadąsana.

Wtem przyszło jej na myśl, że przechodząc ścieżką, może zobaczyć ten bukiet.

— A niech zobaczy — perswadowała sobie — niech wie, że niedbam o jego kwiaty wcale, ani o niego.

I na potwierdzenie to rozplakała się.

Dziwne są sprzeczności w życiu kobiety, dziwniejsze jeszcze u panienek wracających prosto z pensyi. Janina sama nie wiedziała, co się z nią działo, czuła się tylko bardzo nieszczęśliwa.

Odtąd stosunek między panienkami oziębł się mocno. Janina unikała towarzystwa Zosi i to tak widocznie, że ta aż zapytała jej musiała.

— Moja droga, jak widzę, niekontenta jesteś ze mnie.

— Dla czego? — spytała zmieszana Janina.

— Czy ja wiem? Formalnie uciekasz teraz przedemną.

— Bo jesteś zawsze teraz w towarzystwie — rzekła Janina znacząco, z ukrytą złością w tonie.

— No, to przecież we troje jeszcze lepiej zabawić się możemy. Adaś jest taki wesoły chłopiec.

„Adasiem go już nazywa” pomyślała sobie Janina i ta zbyt poufalałość przyjaciółki dla jej kuzyna obraziła ją. — Adaś, Adaś — to zdrobniale nazwanie jak osa brzęczało jej koło ucha.

- Ja sądziłam — rzekła po chwili — że towarzystwo moje powinno ci wystarczać.
- Więc nie chcesz, żeby Adaś chodził z nami.
- Przecież wiesz o tem.
- Więc dobrze, pójdziemy dziś same do lasu.
- I Azor z nami.
- Tak, tylko Azor.

Zaraz po południu, bo się prześlicznie wypogodziło, wzięły robótki, Azora, przekąski w koszyczek, aby nie potrzebowały wracać prędko i poszły w to miejsce, gdzie tyle miłych chwil przepędziły. Ale te chwile przeszły niepowrotnie; serdeczne przyjaciółki nie umiały się już bawić ze sobą tak dobrze, jak dawniej; coś im przeszkadzało, czegoś im brak było. Nie śmiały, czy też nie chciały mówić o tem, co w tej chwili zajmowało ich główki. Nieobecny dla oczów Adaś stał im na myśli, a ilekroć rozmowa ich potrafiła o niego, rwała się i obie milkły znowu na długo. Nie bawiły się jakoś tak, jak sobie obiecywały, i choć wybrały się na całe popołudnie, jeszcze przed kawą wróciły do domu.

Po kawie, ledwie się rozeszli, Janina, która poszła zaraz do swego pokoju, z oburzeniem zobaczyła przez okno, że Adam z Zosią już byli w ogrodzie. Było to rzeczą bardzo naturalną, że wyszedłszy z nią z pokoju, poszedł potem z nią do ogrodu. Janinie jednak wydawało się to wielkim nietaktem i nieprzyzwoitością ze strony Zosi, żeby tak gonić wszędzie za panem Adamem i pomimo przyjaźni, jaką miała dla niej, z pewną pociechą pomyślała sobie, że już niezadługo Zosia pojedzie. Pojutrze wypadają imieniny dziadka, potem babki — a potem zapewne najdalej za dwa lub trzy dni wyjedzie Zosia z ojcem.

Janina odetchnęła swobodniej, gdy sobie o tem pomyślała. Było to niegościnnie, nie po koleżeńsku; ale czyż Zosia po koleżeńsku sobie postępuje, że zamiast z nią, przepędza cały czas prawie w towarzystwie Adama, którego, wie dobrze, że ona (to jest Janina) tak nie lubi? Tem rozumowaniem uspokajała w sobie skrupuły i wyrzuty sumienia.

Zresztą nie miała już czasu myśleć o tem, bo musiała zajmować się przygotowaniami do imienin. Przez dwa dni panował ruch we dworze ogromny. Panna Ksawera i Janinka biegały jak jaskółki od kuchni do spiżarni, od spiżarni do piwnicy, do lodowni. W kuchni słychać było ciągły huk tasaków; siekano mięso, siekano migdały, tłuczono cukier, tarto mak — słowem krzątano się, jak przed świętami wielkanocnymi. Co chwila przypominano sobie, że jeszcze tego lub owego brakowało; więc wysyłano posłańców do miasta, jednego po drugim. W pokojach także trzeba było zrobić jakie takie porządki na przyjęcie gości.

Wśród takiego rwetesu, Janina nie miała czasu obserwować Adama i Zosi (Zosia często bardzo, przypasawszy biały fartuszek, pomagała jej w zajęciach gospodarskich); ale parę razy w przelocie złapała ich na żywej i poufnej pogadance, to koło piwnicy, to przy studni, to raz w pokoju, do którego gdy wpadła niespodzianie, zmieszali się i nagle urwali rozmowę. Te spostrzeżenia nie musiały być dla niej bardzo obojętne, bo kiedy potem wróciła do kuchni z mocno rozpaloną twarzą (tłumaczyła to przed babcią zmęczeniem), to z taką zaciętością gorączkową zaczęła siekać migdały, że aż panna Ksawera musiała ją upomnieć, żeby pofolgowała trochę swojemu zapałowi, bo połowa migdałów była na ziemi, gdzie je kurczęta skwapliwie dziobały. Biedna Janinka nie wiedziała nic o tem, jaki bal kurczętom sprawiło jej rozdrażnienie, wynikłe — jak sobie to sama tłumaczyła — z nieprzyzwoitego postępowania Zosi. Ani przypuszczała, że jej w tej sprawie zupełnie o co innego chodzi, niż o reputacyą koleżanki, i na pociechę swoją powtarzała sobie:

— Za parę dni pojedzie, to się wszystko skończy.

A wtedy i pana Adama dotkliwa czekała kara... za zbyt dużą śmiałość do jej koleżanki. Postanawiała sobie, że da mu uczuć całą nieprzyzwoitość jego postępowania. Ułożyła sobie nawet frazes, naszpikowany gęsto moralami, którym go miała poczęstować w razie, gdyby po wyjeździe Zosi ośmielił się do niej zbliżyć i zagadać.

Ale wszystkie te przygotowania udaremniła jedna mała okoliczność. Oto w dzień imienin babki, na które był zjazd ogromny, Zosia nawiasowo, w przechodzie, udzieliła jej z rozpromienioną twarzą wiadomość, że pan Adam obiecał pojechać z nimi, to jest z nią i z jej ojcem — na Ukrainę. Janina, która właśnie wtedy niosła ze spiżarni ciasteczka do kawy, napozór obojętnie i zimno przyjęła tę wiadomość; tylko że uczuła w głowie i w sercu równocześnie ból dziwny, jakby ją kto dotknął rozpalonem żelazem, lub kawałkiem lodu. Doświadczała zamętu myśli; wszystkie przedmioty zakolowały w jej w oczach

szybkim ruchem i mało brakowało, żeby upadła. Nie upadła jednak, zapanowała całą siłą woli nad sobą i poszła dalej do gości. Obowiązki gospodyni nie pozwoliły jej ani na chwilę spocząć, choć takby rada była uciec gdzie w jaki kącik i wypłakać się do woli. Trzeba było tłumić w sobie to nerwowe drżenie, które ją tak usposabiało do płaczu; co więcej, musiała śmiać się, rozmawiać, obsługiwać gościom, wymyślać zabawy dla młodych rówieśniczek, których się kilka zjechało z okolicy i bawić się z nimi. Takie pasowanie się wewnętrzne sprawiło jej szalony ból głowy, który potęgował się coraz bardziej. To też gdy tylko ostatnia bryczka z gośćmi odjechała z przed ganku, coby prędzej powiedziała dobranoc dziadkom i poszła się położyć, tłumacząc się wielkim znużeniem.

Nazajutrz wywiązała się z tego lekka gorączka, która jednak nad wieczorem ustała. Do herbaty przyszła już całkiem zdrowa, tylko była więcej niespokojna i drażliwa niż zwykle.

Pomimo próśb i nalegań gościnnych gospodarzy, nie mógł już przedłużać pobytu gość, bo dostał list z domu, wzywający go dla pilnych interesów. Serdeczne przyjaciółki miały się więc rozłączyć za kilka godzin, a mimo to Janina nie korzystała z chwili, aby się przed rozstaniem nagadać jeszcze dowoli z Zosią; na twarzy malowało się więcej roztargnienia, niż smutku.

— Kiedy my się znowu zobaczymy? — spytała Zosia, biorąc ją za rękę.

Janina wymijała odpowiedź na to pytanie; zaczęła coś mówić o swoim zniechęceniu do świata, do ludzi, o chęci wstąpienia do klasztoru: a w końcu, chcąc się zapewne uwolnić od dalszych pytań i rozmowy, która ją męczyła niesłuchanie, udała, że usnęła.

Na drugi dzień rano, by nie być zmuszoną znajdować się na ganku podczas odjazdu Zosi i jej ojca, a raczej Adama, o którego tu głównie chodziło — zaczęła dość wcześnie uskarżać się na nieznośną migrenę. Wyszła tylko na chwilę ze swego pokoju, aby się pożegnać z ojcem Zosi. Można było uwierzyć, iż rzeczywiście była cierpiącą, bo wyglądała blade, mizernie, a powieki drgały jej i mrugały niezwykle. Babka, widząc ją w takim stanie, sama namawiała, aby się położyła. Ucałowała więc tylko rękę ojca Zosi i podziękowała mu za przyjemność, jaką jej sprawił, przywożąc do nich koleżankę. Podziękowanie to jednak wypowiedziała dość sucho, bez owej serdeczności, z jaką witała ich przyjazd, co jednak można sobie było tłumaczyć jej chwilowym cierpieniem. Chciała nawet i z Zosią pożegnać się za jednym zachodem, ale ta oświadczyła, że przyjdzie jeszcze do jej pokoju, ucałować ją na wyjeździe. O Adamie nie wspomniano ani słówka. Janina nie zapytała się wcale o niego, bolało ją to jednak dotkliwie, że się ani pokazał, ani się z nią nie pożegnał. Rozgorączkowana, zmęczona, jakby rzeczywiście przebyła jaką ciężką chorobę, wróciła do swego pokoju, położyła się, a raczej upadła na sofkę i, zakrywszy twarz rękami, leżała tak nieruchoma, w jakimś odurzeniu, które było pół snem, pół jawą. Słyszała, jak wynoszono kufry na ganek, jak panna Ksawera szukała po pokojach parasolki Zosi, jak wołano na furmana, aby się spieszył z zaprząganiem; nareszcie usłyszała turkot powozu, zajeżdżającego przed ganek. — Zdawało się, że te koła po sercu jej przejechały, taki ból jej to sprawiło.

Nim Janina zdobyć się mogła na odpowiedź, zawołano na Zosię, aby wsiadała. Jeszcze jeden całus długi, serdeczny, jeszcze jedno uściśnienie, a potem Zosia furknęła z pokoju. Janina uczuła wtedy żal, że tak zimno rozstała się z przyjaciółką, a większy jeszcze o to, że Adam nawet z nią się nie pożegnał. To przecież należało się koniecznie. Naraz przyszło jej do głowy, że musi go raz jeszcze zobaczyć, koniecznie musi. Zerwała się z sofki, zrzuciła chusteczkę, którą miała przewiązaną głowę, i przez okno wyskoczyła do ogrodu. Wiedziała jedno miejsce koło płota, z kądem niepostrzeżoną przez nikogo, mogła widzieć cały podwórzec, a więc i jego wsiadającego do powozu. Jeszcze nie musieli odjechać, bo nie słyszała turkotu. Z bijącym od wzruszenia sercem, rozgorączkowana, niespokojna, przedzierała się przez krzaki agrestu, przez bzy rosnące koło płotu. Była tak zajęta tą jedną myślą dościa na czas, zobaczenia go, że nie zwracała wcale uwagi na szelest, który za nią dał się słyszeć kilka razy.

Nareszcie dopadła do wiadomego otworu; jeszcze nie odjechali. Powóz stał już całkiem gotowy do drogi; kilkoro ludzi kręciło się koło niego i zasłaniało jej widok. Czekala niecierpliwie, rychło się usuną, aby mogła zobaczyć osoby siedzące wewnątrz. Drżała na myśl, że powóz ruszy z miejsca, zanim będzie mogła zobaczyć Adama. Nareszcie przecież usunęli się ludzie; ujrzała kapelusik Zosi, białą czapkę jej ojca, ale Adama dojrzeć nie mogła. Zapewne siedział na przednim siedzeniu i skrzydła powozu go zakrywały.

Mogłaby go zobaczyć jedynie, gdyby się wspięła wyżej na płocie. Popatrzyła, gdzieby się mogła najwygodniej ucześcić prętów wikliny, gdy wtem rozległ się trzask bata, powóz ruszył z miejsca i znikł wkrótce za bramą.

Krzyk bólesci wydarł się z jej piersi, nogi się pod nią zachwiały i byłaby upadła na krzaki agrestu, gdyby jej nie był pochwycił w swoje objęcia stojący za nią od pewnego już czasu Adam.

Oczom własnym nie wierzyła, kiedy, ocknąwszy się, zobaczyła go schylonego nad sobą i wpatrującego się w nią wzrokiem pełnym niepokoju i miłości.

— Jakto, pan nie pojechałeś? — spytała głosem drżącym od rozkosznego wzruszenia, które jak promień słoneczny twarz jej rozjaśniło.

— Nie miałem nawet zamiaru.

— Przecież Zosia mówiła...

— Zwodziła panią.

— To szkaradnie tak podchodzić kogo — mówiła, usiłując zadąsaną minką pokryć rumieniec, który coraz silniej występował na jej twarzyczkę. — O! nie daruję jej tego!

— A ja ją błogosławię, bo przez to dowiedziałem się o mojem szczęściu.

Mówiąc to, przycisnął do ust drobną jej rączkę.

Cofnęła się nieśmiało i rzekła:

— Może ich jeszcze widać na drodze.

Pobiegła żywo na drugą stronę ogrodu; Adam poszedł za nią.

Rzeczywiście na drodze, niedaleko za dworem, widać było powóz. Prawdopodobnie umyślnie zatrzymała go Zosia, spodziewając się, że jeszcze zobaczy przyjaciółkę, bo stała w powozie, odwrócona w stronę dworu. Janina, chusteczką mokrą jeszcze od płaczu niedawnego, przesyłała jej pożegnanie, a może i podziękowanie. Zrozumiała ten znak i także wiewała chusteczką w stronę Janiny. Potem powóz ruszył i schował się niezadługo za wikliny. Janina wpatrywała się jeszcze w tę stronę; Adam zaś stał wpatrzony w nią z zachwytem i czekał, rychło zwróci się ku niemu, a nie mogąc się doczekać, zbliżył się i dotknął lekko jej ręki.

— Janino, teraz i mnie się także coś należy, choć spojrzenie.

— Idź pan, nie cierpię pana! — mówiła z udaniem zadąsaniem, podczas gdy oczy jej, uśmiechnięte rozpromienione, mówiły całkiem co innego.

Co potem nastąpiło, zdaje się, że nie potrzebuję wam mówić, a czy to nastąpiło w rok, czy we dwa o to już mniejsza; dość że nastąpiło i Numa wyszła za Pompiljusza.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prosto-z-pensyi>

Tekst opracowany na podstawie: Michał Bałucki, *Prosto z pensyi*, Drukiem i nakładem Bernarda Miłskiego, Poznań 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0056-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.